

Gen. Tadeusz Ludwik Piskor

RELACJA DOWÓDCY ARMII „LUBLIN” Z WALK W 1939 ROKU

Exemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN str. 8-9



Legenda
Gorgonowej

Mirosław Derecki str. 4-5

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 25 XII 1977 Nr 26 (642)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Jerzy z Lublina i z Rzeszowa

Zygmunt Mikulski

ZACZEŁO się od „pejzażu”. Kto z dwunasto-
latków posługuje się tą nazwą? Dla dwu-
nastoletniego Jerzego Pleśniarowicza już nie
było obrazu przedstawiającego wieś. Był
pejzaż. Czy potrzeba dalszych przykładów dla zil-
ustrowania tezy mówiącej o tym, że „nad wiek”?
Tylko proszę nie mylić z identycznie brzmiącym o-
kreśleniem używanym przez ciotkę. Tu nie ma ni-
czego z rodzinnej taryfy ulgowej. Sama rzeczywi-
stość.

A dalza rzeczywistość jest taka, że Pleśniarowicz
chodził do gimnazjum Staszica w Lublinie. Było to
parę ładnych lat temu, bo edukację na tej uczelni
zaczął w roku 1932. Cóż, można dodać, że lza się
w oku kręci, skoro większość czytających te słowa
tej daty nawet nie obejmuje życiorysem, ale są
różne lzy. Radości też. A wszyscy Jego znajomi, ko-
ledzy i przyjaciele mają do tego sposobność, bo ich
Znajomy, Kolega i Przyjaciół stał się Jubilatem.
40 lat pracy twórczej. Dziedziny: poezja, krytyka,
przekłady, teatr, inspirowanie pracy społecznej i kul-
turalnej. Życie towarzysko-intelektualne. Stop, u-
przedzamy fakty.

Faktów jest mnóstwo, a wołowej skóry nie ma,
zatem selekcja, selekcja. A więc w gimnazjum szkol-
na gazetka ścienna. Kto jej naczelnym? Najmłod-
szy z redakcyjnego zespołu — Pleśniarowicz. Już

Dokończenie na str. 3



Rys. E. Ingłot

WESOŁYCH ŚWIĄT

życzy KAMENA

Wanda Czubernat

ZAKOPIAŃSKA PASTORAŁKA

Zyświyciła gwiazdka
w chmurak nad górami,
jadom pastuszkowie,
jadom Krupóńkami.

Jedyn kadilakiem,
drugi mercedesym,
trzeci ino fiatym,
z syćkim sie śpieszy.

Kcieliby uwidzieć,
ka sie Bóg narodzi,
zacynajom hurmem
po karcmak zachodzić.

A pote autami
styrmiom sie po graniak,
bo cujom ochote
do kołędowania.

Jedyn z turystyki
powrócił po świecie,
kcieloby kołędować,
bo go piniądz gniecie,

Drugi z Hamaryłki,
jak zaba sie pucy,
duse mo dziurowom,
glupota ś niyj fucy.

Jedzie tys niejedyn
pastusek ubogi,
co sie na sportowyk
hipkackak dorobił.

Spotkać tys haw mozo
niejednego króla,
co mu zamiast gwiazdy
świitcy złoty dular.

A kozdy pastusek
pastuske se wlece,
no i podarunki,
coby uccić Dziecie.

Podarunki godne:
paiórek, nocnicek —
przyjmijze Dziecinko
tatrzański śmietnicek!

Baby Wyżna (woj. nowosądeckiej)

KONKURS SKRZYPCOWY W POZNANIU

Stefan Münch

SPOŚROD wielu muzyków i
kompozytorów związanych z
regionem Lubelszczyzny nie-
wątpliwie gwiazdą pierwszej
wielkości był Henryk Wieniawski. U-
rodzony w Lublinie w 1835 r., uczył
się muzyki początkowo u J. Horn-
ziela i S. Serwaczyńskiego, by w
1843 r. wyjechać do konserwatorium
paryskiego, gdzie kształcił się pod
kierunkiem L. J. Massarta. Po trzech
latach nauki ukończył uczelnię z

pierwszą lokatą i rozpoczął działal-
ność estradową. Koncertował w Pol-
sce, Rosji, Niemczech i Francji, w
Holandii, Belgii i Anglii, wszędzie
zyskując sobie licznych wielbicieli
swego talentu. Równie wielki sukces
odniósł Wieniawski w Ameryce Płn.,
gdzie odbył trwające trzy lata tour-
née koncertowe, po części wspólnie z
Antonim Rubinsteinem.

Jako wirtuoz cieszył się Henryk
Wieniawski sławą następcy Niccolò

Paganiniego. Z działalnością estra-
dową łączyła się jego aktywność
kompozytorska, wyróżniająca się w
tworzeniu dzieł wybitnie popisowych
(choć są w jego dorobku i wielkiej
piękności utwory liryczne), przezna-
czonych dla siebie jako wykonawcy.
Konkursy muzyczne stają się coraz
popularniejszą formą artystycznej
konfrontacji i sprawdzianu młodych,

Dokończenie na str. 13

W numerze
„ZIEMIA I PIĘŚŃ”



Władysław Broniewski

17 grudnia br. minęła 80 rocznica urodzin Władysława Broniewskiego. Przypominamy kilka wierszy tego znakomitego Poety.

POEZJA

Ty przychodzisz jak noc majowa,
biała noc, noc uspiona w jaśminie,
i jaśminem pachną twoje słowa,
i księżycem sen srebrny płynie,

płyniesz cicha przez noc bezsenne
— ciszą nocą tak liście szeleszczą —
szepczesz sny, szepczesz słowa tajemne,
słowach cichych skąpana jak w deszczu...

To za mało! Za mało! Za mało!
Twoje słowa tumanią i kłamią!
Piersiom żywym daj oddech zapachu,
wiew szeroki i skrzydła do ramion!

Nam te słowa ciche nie starczą.
Marne słowa. I blahe. I zimne.
Ty masz werbel nam zagrać do marszu!
Smagać słowem! Bić pieśnią!

Wzniesić hymnem!

Jest gdzieś radość ludzka, zwyczajna,
jest gdzieś jasne i piękne życie. —
Powszedniego chleba słów daj nam
i stań przy nas, i rozkaż — bić się!

Niepotrzebne nam białe westalki,
noc nie zdławi świętego ognia —
bądź jak sztandar rozżarzony wśród walki,
bądź jak w wichrze wzniesiona pochodnia!

Odmień, odmień nam słowa na wargach,
naucz śpiewać płomiennie i prościej,
niech nas miłość ogromna potarga,
więcej bólu i więcej radości!

Jeśli w pieśni potrzebna ci harfa,
jeśli harfa ma zakląć pioruny,
rozkaż żyły na struny wyszarpać
i naciągać, i trącać jak struny.

Trzeba pieśnią bić aż do śmierci,
trzeba głuszyć w ciemnościach syk węży.
Jest gdzieś życie piękniejsze od wierszy.
I jest miłość. I ona zwycięży.

Wtenczas daj nam, poezjo, najprostsze
ze słów prostych i z cichych — najcichsze,
a umarłych w wieczności rozpostrzyj
jak chorągwi podarte na wietrze.

DO TOWARZYSZA-WIĘZNI

Drzwi zamknięte, okute drzwi,
w wąskim oknie żelazna krata...
Tutaj miną najlepsze dni,
miną miesiące i lata.

Trzeba zęby zacisnąć i trwać,
łamiąc w sercu słabość więzienną.
Czemu nocą nie możesz spać,
towarzyszu więziony wraz ze mną.

Czemu puścić nie mogą krat
twoje ściśnięte kurczowo palce?
Tam, za oknem, walczący świat,
czemu cię nie ma w tej walce?

Tam, za oknem, wzywa cię dal,
w którą śmiało trzeba się rzucić...
Słychać, słychać już trzaski salwo,
słychać twardy krok rewolucji.

Towarzyszu więzienny, trwaj,
więcej woli, nadziei, hartu,
z tobą cały walczący kraj,
z tobą masy robotcze i partia.

W arsenalach jeszcze broni dość,
wiele gazów, dynamitu, stali,
ale idźcie, ale musi dojść
do przepaści dziejów kapitalizm.

Przyjdzie wiosna, cała we krwi
wyścielemy jej most pierściami.
Drzwi zamknięte, okute drzwi
otworzymy na ościerni, sami!

WARUM

Miła, ja nie mam słów,
a miałem dość ich.
Nie wiem, skąd bierze się znów
ten lęk radości,

czemu znów serce drży
jak wtedy wiosną,
a lzy zabłysły jak bzy,
co w Polsce rosną.

Tkliwość. I morza szum.
I noc, co milczy.
Na Schumannowskie „Warum?” —
twój szepc: „Najmilszy!...”

I trzeba było tych mąk
i tej rozpaczki,
gdy dwoje splecionych rąk
tak wiele znaczy?

O PTAKACH I TRAMWAJACH

W Warszawie bardzo wcześnie budzą się ptaki
i tramwaje;
ja to przeważnie słyszę, ale bardzo rzadko
wstaję.

No, bo po co? Ptaki wypędzać z gniazd?
Ja pójdę na Podwale,
na Nowy Zjazd
albo nie pójdę wcale.

Ale jeśli kiedyś wstanę tak bardzo wcześnie
rano,
nie pójdę na Mokotów, nie pójdę na Muranów,
ja pójdę na plac Zamkowy
i na plecach podniosę Zygmunta,
żeby był nowy.

O PRZEKWITANIU

Przekwita wszystko, przekwita,
i kwita.

Wyrasta wszystko, przerasta,
i basta.

A ja i wyrosłem, i przerosłem,
doniosłem to, co niosłem —
myślicie, że kilka lez jak kamienie? —
nie! — moje życie i moje sumienie.

W szponach hazardu

KRADZIEŻE i oszustwa z namietnością do gry mnożą się w sposób niepokojący odkąd w RFN systematycznie zwiększa się liczba kasyn otwieranych na podstawie państwowych koncesji — pisał niedawno „Der Spiegel”. Zdaniem kryminologów, kasyna co najmniej współwarunkują przestępstwa dokonane przez opętanych manią hazardu i zrujnowanych graczy. W USA dla nalogowych hazardzistów, podobnie jak dla alkoholików, prowadzi się kuracje odwykowe i leczenie objawów choroby.

W kasynie Bad Neuenahr krupier wykonał normalny rzut kulki rulety. Wtem na krótko przed opadnięciem kulki na szczęśliwą liczbę pewien gość sięgnął ręką ponad leżącymi na stole żetonami i położył w centrum planszy jeszcze jeden dwumarkowy żeton, co jest wprawdzie w zasadzie niedozwolone, ale często tolerowane przez obsługę. Wkrótce potem gracz, 28-letni bezrobotny kelner, poproszony został do recepcji, gdzie zatrzymała go policja. Krupierowi rzuciło się w oczy, że w momencie, gdy żwawy uczestnik gry cofnął swoją rękę, zniknął ze stołu jeden z dwóch leżących na sobie żetonów tysiącmarkowych. Okazało się, że niefortunny gracz ukrył wartościowy żeton we własnej kieszeni przy pomocy warstwy kleju na wewnętrznej powierzchni dłoni.

W kasynie Baden Baden przez całe lato pewien 47-letni holenderski agent giełdowy zaliczany był do najbardziej szanowanych graczy lokalu. Pojawiał się codziennie i wykupował dla siebie regularnie tygodniowe karty wstępu, dopóki kasyno nie udostęp-

niło mu jako cenionemu gościowi specjalnej bezpłatnej rocznej karty.

Już jednak na jesieni roczny bilet wstępu został anulowany. Ceniony gość okazał się kiepskim klientem. Po odbyciu kary więzienia za oszukańcze bankructwo w Holandii zaangażował się on do pewnego amerykańskiego milionera jako przewodnik w jego podróży po Europie. Bogatemu chlebodawcy krał systematycznie blankiety czekowe i zaspokajał swe każdorazowe potrzeby przy pomocy sfałszowanego podpisu. Od chwili ujęcia go przez policję „zarobił” w ten sposób 75 tys. marek!

Falszywa gra lub kuglarzkie sztuczki przy stole, kradzieże dokonywane w kasynach i poza nimi w celu uzyskania możliwości gry, żonglerka cyframi w celu zdobycia wielkich pieniędzy przyczyniły się do nadawania cech niemal „czarnej magii” działalności „szczęściarzy” różnych odcieni.

„Bomby na Monte Carlo” — film z lat trzydziestych, którego tytuł stał się niemal przysłowiowy, oparty jest na autentycznych faktach. Na przełomie stuleci amerykański właściciel prywatnego jachtu uwięził sukcesem swe żądanie dotyczące zwrotu wysokich przegranych sum, uciekając się do bombardowania kasyna z zamaskowanych sześciu dział pokładowych. Także uwiecznieni w filmie dwaj międzynarodowi handlarze bronią rzeczywiste zdążyli przegrać w tym samym czasie hiszpańskie pieniądze przeznaczone na zakup dział Kruppa. Dział tych bardzo brakowało Hiszpanii w wojnie z 1898 r. przeciwko USA. Ale zaledwie cząstka wydarzeń mających miejsce w domach gry znana jest szerszemu ogółowi. Podobnie jak niegdyś w aferze z armatami w Monte Carlo, podaje się do wiadomości jedynie drobne przestępstwa bez żadnych szczegółów. Kierownictwa domów gry, jak dowiódł ostatnio mugoncki kryminolog, Hans Willenberg na podstawie badań przeprowadzonych w zachodniolodniemieckich kasynach, przykładają ogromną wagę do tego, aby nie

dostać się na ludzkie języki. Dominującym czynnikiem jest tutaj zawsze interes.

W RFN — stwierdza „Der Spiegel” — w ostatnich dwóch latach otwarto osiem nowych kasyn gry, otwarcie czterech dalszych stanowi kwestię czasu.

Problem polega na tym, czy mania hazardu, rozpełniana wskutek polityki władz skarbowych i koncesjonowanych właścicieli domów gry nie powoduje wzrastającego wpływu hazardu na przestępczość. Po przewertowaniu akt 50 spraw karnych wytoczonych 80 oskarżonym mugonccy psychologowie i eksperci do gier hazardowych doszli do wniosku, że lukratywny proceder co najmniej współwarunkuje przestępczość jako czynnik kryminogenny. Przede wszystkim w przypadku osób zagrożonych psychicznie, które dzięki uśmiechowi losu za jednym zamachem pragnęłyby wyswobodzić się ze wszystkich niedostatków i trosk, dochodzi do drastycznego pogorszenia się ich sytuacji. Stanowi to następnie najczęstszą przyczynę zrobienia pierwszego kroku na drogę przestępstwa.

Tym to sposobem pewien zachodniolodniemiecki instalator zwykł był robić po serii nieudanych odwiedzin w kasynach prawdziwe wyprawy łupieżcze. Miały one miejsce w samo południe, kiedy to sklepy w RFN są nieczynne. Dzięki tym kradzieżom dokonywanym w 80 miejscowościach osiągnął nawet popularność jako „obladowy włamywacz”. A znów pewien 33-letni elektromonter z Saksonii zrujnował doszczętnie i siebie i pewnego związanego z nim szefa filii poważnego banku. Sześć przekształcił się w złodzieja — rabował sklepy z futrami i złotem, chcąc sobie odbić przegrane pieniądze.

Przed narkotykiem gry nie jest w stanie ochronić ofiary hazardu wysoki poziom intelektualny. Pewien ksiądz z Fuldy potrafił przegrać w kasynach ponad 200 tysięcy pożyczonych marek, a specjalista chorób sercowych w Wiesbaden, który popadł w nałóg w związku z pełnieniem obowiązków lekarza w kasynie, roztrwonil 5 milionów marek, z czego ponad milion swego najlepszego przyjaciela.

Roczne obroty domów gry w RFN podskoczyły w czasie ostatnich dwóch lat z dwóch do ośmiu miliardów marek.

wtedy pisał wiersze. Wprawdzie jeszcze nie te, które później weszły do tomu „Śpiew pierwszy”, wydanego nie było gdzie, bo u Ferdynanda Hoesicka w Warszawie, ale i najwcześniejsze juwenalia mają swój urzekający koloryt. Kto ciekaw, rzecz do osiągnięcia poza ramami niniejszego tekstu który musi się pospieszyć, bo jeszcze nie weszliśmy w okres pleśniarowiczowego czterdziestolecia.

Jerzy z Lublina i z Rzeszowa



Lublin 1942...

Liży się ono od roku 1937, kiedy to w tygodniku „Pion” została wydrukowana Jego „Ballada o ulanach”. W czołowym piśmie literackim wiersz autora, który jeszcze nie opuścił ławy szkolnej. Niewiele takich przykładów znajdziemy. Małemu temu zastępowi przewodzi oczywiście Lechoń, ale ówczesnej twórczości Pleśniarowicza patronuje Czecho-wicz. Więc awangarda. Zdawałoby się, że sprawa ze względu na datę nie posiada akcentu, bo wtedy była modna poetyka rodem z „Tędy” i „Nowych ust”, ale stosowano ją w sposób ułatwiony, na zasadzie „chwytyw”. Cokolwiek operowało dopełniaczową metaforą było „awangardowe”. Pleśniarowicz zgodnie ze swym obyczajem nie pominął inspiracji teoretycznych. Wyprowadzał swój wiersz z nastroju, ale i z przemyśleń, nadawał mu muzyczność, ale i kontrolował go doświadczeniem, które już wówczas miał imponujące. Oto jaką opinię o „Śpiewie pierwszym” wydał Czechowicz:

„Z poetyki, która jest zbliżona u Ważyka, Piwowara i piszącego te słowa, Pleśniarowicza bierze przesłanki, jednakże nie tkwi w niej, lecz wyciągnąwszy wnioski działa na przedłużeniu owej poetyki, posuwa rzecz dalej. Przebudowa składni dla celów własnych [...] jest śmielsza, niemal zupełnie wyzwala słowa z więzi zdań ze schematem powszednim, tworząc w ten sposób nowe schematy, używa obficie zdań szczątkowych lub zawieszonych na niedokończonych całościach logicznej itp.”

„Śpiewem pierwszym” Matuszewski i Pollak zamknęli swą antologię poezji międzywojennej 1918—1939.

A matura? Maturę z języka polskiego Pleśniarowicz zdał u... Sieroszewskiego, Staffa i Kadena-Bandrowskiego. Pod protektorem Polskiej Akademii Literatury Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego urządziło konkurs polonistyczny dla maturzystów i osiemnastoletni przyszły Jubilat zdobył pierwszą nagrodę. Do dziś na dyplomie przechowywanym w futerale (kształt kamienia węgielnego) ma

autentyczne podpisy trzech luminarzy literatury polskiej.

Przed wojną jeszcze był i nie był „Arkuszem poetyki” nr 20. Był, ponieważ został napisany, przyjęty przez wydawnictwo (znów Hoesick) i złożony na linotypach, nie był, ponieważ dalszemu procesowi wchodzenia publikacji w czytelnicy obieg przeszkodziła wojna. Ale inny tom dokonał zaczętego dzieła. Bez wydawnictwa, bez maszyn drukarskich rozszedł się konspiracyjnie w roku 1942 zbiór wierszy „Droga”. I jeszcze jedna rzecz w ten sposób.

Mianowicie Zygmunt Kalużyński napisał „burleskę w 9 scenach z udziałem doktora Dolittle” i zatytułował ją „Kanikuła”. Utwór był wytworem fantazji w paradoksalny sposób mający przewyczyć grozę tych lat, a przedmowę napisał Pleśniarowicz. Dziś jest tak rzadki, że nie należy nawet do rzadkości, ale wtedy odegrał dużą rolę. Z tego przede wszystkim powodu, że „operował autentycznymi postaciami z intelektualnego środowiska lubelskiego. Coś jak „Wesele” z krakowskiego. Ile to lat? Bohaterowie „Kanikuły” mogliby urządzać zjazd koleżeński w 33-lecie swojego scenicznego istnienia.

Później Nałęczów Pleśniarowicz był zatrudniony w tamtejszej Szkole Spółdzielczej jako nauczyciel języka polskiego. Tak, tylko zamiast jednej godziny tygodniowo było tych godzin osiem i „nasi okupanci” chętnie przyznaliby za to dyplom uznania w postaci numeru nad czerwonym trójkątem na paszku. Tym bardziej za współpracę z Batalionami Chłopskimi. Zapobiegło temu wyzwolenie.

Wyzwolenie. Historyczny odnośnik dla dwóch trzecich obywateli PRL już tylko podręcznikowy. Eksplozja możliwości, inicjatyw, poezji, dyskusji, bieganiny po korytarzach za tym co nowego powstaje. Oczywiście Jerzy Pleśniarowicz od razu papieżem, Oskarem Wilde'm i Leonem Gambettą młodego ruchu literackiego w Lublinie. Wszystkich zebfął, wszystkim wmoził, że władza ludowa nie tylko płonie ciekawością tego, co piszą dwudziestoparolletni lubliniacy. Wprawdzie przedmiotem zainteresowania władzy był wtedy raczej tabor kolejowy, stan urządzeń w fabrykach i wygląd miasta, które należało uprzętnąć po przejściu frontu, ale agitacja Pleśniarowicza — jak zawsze — posiadała siłę czolgu wspieranego oddziałem desantowej piechoty. Radio zyskało Sikiryckiego jako spikera, „Wieś” Kamińską i Kalużyńskiego jako publicystów, „Odrodzenie” Piotrowskiego jako pracownika redakcji — nie bez udziału Pleśniarowicza, który nie znosi nieszczęsnej i waszej bezczynności. Sam został referentem prasowym Resortu Kultury i Sztuki PKWN.

Po „odstołecznieniu” Lublina pracował w radiu, później w „Życiu Lubelskim”, później w delegaturze „Czytelnika”. I tu się zaczyna życiorys rozdzielający. Początek przypadł na Zespół Żywego Słowa. To było coś takiego, czemu Pleśniarowicz nadał rumieniec życia. Bo co myślicie: samo czytanie literatury pięknej? Owszem, propaganda książki, ale za pośrednictwem wszelkich form artystycznego oddziaływania. A więc muzyka, śpiew, recytacja, inscenizacja, scenografia. Co tylko zmieściła miejska i wiejska estrada. Zakomponowane, ujęte w jednoli-

te wideo-słuchowisko. Tak, to pierwszy krok w służbie Melpomeny i Taiti, następne w dziedzinie znaczącej zostały postawione w Rzeszowie.

Rzeszów — druga artystyczna ojczyzna. Czwierć wieku działalności kulturalnej, ćwierć wieku pracy reżyserskiej. Tu apnał przede wszystkim przekładowy róg obfitości. 16 utworów dramatycznych przetłumaczonych z języków rosyjskiego, czeskiego, słowackiego i francuskiego. Drama-



...i Rzeszów dzisiaj

matycznych i wystawionych. Bo jeśli chodzi o przekłady w ogóle, to do konca zostały z literatury afrykańskich, czeskiej, francuskiej, greckiej, japońskiej, kubańskiej, słowackiej, tureckiej i narodów Związku Radzieckiego. 39 pism zamieściło teksty Pleśniarowicza na przestrzeni tych 40 lat. Nie znaczy, że jeden na rok. Mowa o tytułach pism, nie o liczbie publikacji.

A jeszcze podróże po ZSRR i Czechosłowacji. W latach 1963—1964 półroczne stypendium rządu francuskiego na pobyt w paryskim Théâtre National Populaire na praktyce reżyserskiej.

Jeśli na jubileuszowej uroczystości w Rzeszowie (a było to dnia 29 listopada 1977 r.) pojawiły się głosy, że samymi publikacjami nie wymierzy się dokonania Jubilata na przestrzeni owych czterech dziesięcioleci, odpowiada to rzeczywistości ze względu na charakter Pana Jerzego, którego pasją jest bezpośrednie uczestnictwo w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym. Oprócz pracy zawodowej poświęca on swą energię amatorskiemu ruchowi artystycznemu, opiece nad młodymi poetami, spotkaniom z czytelnikami, wszelkim inicjatywom, których niejednokrotnie sam jest aranżerem. Był on prezesem Rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, był wieloletnim przewodniczącym Komisji Kultury Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Członkiem Kolegium Redakcyjnego dwutygodnika „Kamiana” i miesięcznika „Profile”. Jest posiadaczem Orderu Sztandaru Pracy II klasy, Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, nagrody Ministra Kultury i Sztuki, Wojewódzkiej Rady Narodowej i Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie. Nagrody literackiej im. Juliana Przybosa. Dyplomów radzieckich i czechosłowackich. Jest także laureatem rzeszowskiego konkursu — plebiscytu „Postawy”.

Ale nie tylko literatura, nie tylko teatr. Trzecią domeną Pleśniarowicza jest żywe słowo. Słowo mówione. W bezpośrednim kontakcie osobistym. I to jak mówione! Żadnych zdawkowości. Na pytanie „co słychać” Pleśniarowicz odpowie „sznurowadła zdróżały”. Nie wybieraj się do rozmowy z Nim o „układach”, „chodach”, talonach i metrażach. Nie o tym co warto wywieźć do Bulgarii, a co z Jugosławii przywieźć. Możesz — j. li interesuje cię poezja symboliczna we Francji, czysta forma Witkiewicza, układ rozkwitający Pepera. Ostatnio przeczytana książka. To są sprawy powszednie rzeszowskiego perypatetyka. Niech sobie odchodzi autobusy, niech się kończą godziny otwarcia sklepów — Pleśniarowicz musi odbyć rozmowę, która rychło przekształca się w monolog. Jakże korzystny dla każdego rozmówcy.

Czy to nie młodość? Mimo tych 40 lat pracy — czy to nie młodość? Nie wiele ma do powiedzenia metryka przy tak świeżej ciekawości świata i ludzi. To dodaje otuchy. To ma coś z recepty na życie. „Starzejemy się w stronę młodości” — zakończył swe podziękowanie jubilat na rzeszowskim wokół niego spotkaniu.

Zygmunt Mikulski

JAN TULIK

POCIESZAM STARĄ KOBIECĘ

Obiorę ci z twarzy pajęczynę pani
popiół z włosów wydmucham brzuch wyłożę
marmurem i zapachem siana (wetknę
powyżej dwie czereśnie złote byś się

ocknęła pod smagnięciem wargi)
Więc spał swą troskę jak się spała różę
jak wstyd wygasa w przypływie pieczyoty
Bo przyjdzie nam nocą ze słonej pościeli

wyciągnąć dłonie po krzepiące jabłko
Lecz to pojsłem oczym wiedzieć nie chcesz
żrenice mieć będziesz bledsze o pół zmroku

a mnie w tygodniu siedmiu sokolników
gościć będzie na uciesznych łowach
aż rogacze rykną z rozpacz

SONET DO GŁUSZCZA

Odwolaj ten wieczór choć do jutra panie
ciszę pozostaw przejrzyśtu jak szyba
w którą ptak rzuci wolność swą przypadkiem
na dźwięki stłucze koloraturowe

Powstrzymaj chmury malowane w cuda
na kształt owieczek skubiących wieczernę
pijących z zorzy mokrej z westchnień rzeki
gdzie oko rybaka w pustym oku sieci

Lecz ty przemilczasz pluski moich wiosel
głowę odwracasz w stronę blasku świecy
jak ów kapelan z wiatykiem nadziei

który z ostatnim zgrzytem klucza czmycha
Jak uwodziciel gdy brzemienna pyta
ile kosztuje — skrobanka — pokory

To było zdarzenie w C-durze

Wcale nie jaśmin
wcale nie słowik wyjaśnił
że ów nokturn to zdarzenie muzyczne
Po prostu wrona
usiadła na maszce topoli
— czarna flaga

LAS

Ta sosna już po zawale
Brzoza wprawdzie nie narzeka
na brak fosforu
— niemniej infekcja liści przywabia
wcześniaka jesieni

Osika nerwowo strzepuje popiół
A ci kryształowi
porcelanowi
przeczli nabierać lasu
w foliowe worki.
cierpiące na pylicę

Legenda Gorgonowej

Mirosław Derecki



Emilia Margherita Gorgonowa. Zdjęcie z początku lat trzydziestych
Fot. Archiwum

WMROŻNY, grudniowy wieczór pukam do drzwi na pierwszym piętrze przedwojennej „czynszówki” przy ulicy Buczka w Lublinie. Otwiera starszy, siwy mężczyzna i przez długi korytarz prowadzi mnie w głąb mieszkania. W zastawionym ciężkimi mieszczanskimi meblami pokoju, podnosi się z fotela niewysoka, delikatna kobieta. „Pan w sprawie Gorgonowej? Słyszał pan, że poznałam ją w czasie okupacji na Lubelszczyźnie? Proszę siadać, zaraz wszystko opowiem. To ona zabiła...” — mówi Maria Nizioł.

W słynnym poszlakowym procesie Rity Gorgonowej, toczącym się w latach 1932–1933, oskarżona została postawiona przed sądem pod zarzutem zamordowania z premedytacją Elżbiety Zarembki, córki znanego lwowskiego przedsiębiorcy budowlanego. Od kilku lat żona Zarembki przebywała w zakładzie dla umysłowo chorych w Kulparkowie; inżynier przyjął do opieki nad dziećmi, Elżbieta i Stanisławem młodą, przystojną Chorwatkę, którą mąż, Erwin Gorgon, był oficer austriacki — wyjeżdżając do Ameryki — pozostawił we Lwowie bez środków do życia. Ze związku Emilii Margerity Gorgonowej i dwadzieścia lat od niej starszego Henryka Zarembki narodziła się córka Romusia.

Elżbieta Zarembka została zamordowana w tajemniczych okolicznościach, w willi Zarembki w Brzuchowicach pod Lwowem, nocą z 30 na 31 grudnia 1931 r. Podejrzanie padło przede wszystkim na Gorgonową, której układy z Zarembką uległy w ostatnim czasie ochłodzeniu. M.in. również ze względu na postawę dorastającej córki Elżbiety zwanej Lusią, która wierzyła w powrót matki do zdrowia i przeciwstawiała się projektom małżeństwa ojca z „piękną Ritą”.

Gorgonowa nigdy nie przyznała się do winy. Jej zdecydowana postawa przed sądem czyniła rozprawę tym bardziej dramatyczną. Ale „opinia publiczna” wywlekała przede wszystkim aspekty „moralne”: fakt, że Gorgonowa pozostawała z Zarembką w nielegalnym związku podczas gdy żona przebywała w „domu wariatów”, że miała z inżynierem nieślubne dziecko, że już w więzieniu urodziła kolejną córkę, Ewę Krystynę zwaną Kropelką, do której ojcostwa Zarembka się nie przyznawał. W pierwszej

fazie procesu doszły też do głosu namiętności nacjonalistyczne.

Uważano, że sędziowie przysięgli wydali wyrok skazujący Gorgonową na śmierć właśnie pod wpływem „opinii publicznej”. Ów wyrok Sądu Okręgowego we Lwowie z 14 maja 1932 r. został zaskarżony przez obrońcę Maurycego Axera, a Sąd Apelacyjny w czasie rozprawy 21 lipca tegoż roku uchylił wyrok i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia przez Sąd Okręgowy w Krakowie. Wielomiesięczny proces, podczas którego drobiazgowo badano każdą poszlakę, w którym wykorzystano najnowsze osiągnięcia kryminalistyki, medycyny sądowej, psychologii, w którym stawali słynni adwokaci, osiągnął finał 29 kwietnia 1933 r. Lawa przysięgłych ponownie uznała Ritę Gorgonową winną, ale — zabójstwa w afekcie. Sąd wymierzył jej karę 8 lat więzienia. Miała odtąd „Kamienna piękność” lub „Mariena na grecko” — jak ją określała prasa — przebywać w ciężkim więzieniu w Fordonie aż do 24 maja 1940 r. Opuściła mury Fordonu 3 września 1939 r., w trzecim dniu wojny.

Wydawało się, że wojna zatrzymała pamięć o wielkim procesie, stonuje ludzkie namiętności. Jednak kiedy w 1949 r. w jednym z krakowskich dzienników ukazała się (nieprawdziwa — MD) wiadomość, że ogrodnik Zarembki przyznał się na łożu śmierci do zabójstwa Lusii wzbudziła ona ogromny odzew wśród społeczeństwa.

Dziennikarka Krystyna Kolińska, pisała ostatnio na łamach „Stolicy”, że kiedy jeszcze osiem lat temu wystąpiła z „pozytywnymi” artykułami o Gorgonowej, otrzymała szereg napastliwych anonimów. Edmund Zurek w wydanym dwa lata temu zbiorze reportaży sądowych: „Gorgonowa i inni” wspomina, że zbierając materiał o sprawie Gorgonowej był zaskoczony niewygasłym zapalem, polemizmem i ostrością realiów rysujących się w pamięci rozmówców. Niedawna premiera filmu „Sprawa Gorgonowej” znowu dzieli widzów na opowiadających się za winą i przeciw winie jego bohaterki.

Film kończy się zamknięciem sprawy Gorgonowej. Niewiele też można się dowiedzieć o dalszych losach „pięknej Rity”, z książkowych i gazetowych publikacji. Edmund Zurek we wspomnianej książce pisał: „W czasie wojny przebywała w Warszawie. Po 1945 roku widziano ją w Opolu i Wrocławiu. Mimo długotrwałych poszukiwań nie udało mi się odzyskać Gorgonowej w kraju, według niesprawdzonych informacji żyje w Jugosławii, [...]”. Krystyna Kolińska stwierdza w sierpniowym numerze „Stolicy” z 1977 r.: „Co się z nią dalej działo, nie wiadomo. Ponoć niektórzy widzieli ją w czasie okupacji w Warszawie, gdy na jakimś targowym placu sprzedawała ręczne robotki, ponoć po wojnie wyjechała do Jugosławii z Kropelką, [...]”. Prawie bez echa przeszła wiadomość zamieszczona w „Kurierze Lubelskim” z 31 marca 1977 r.: „Gorgonowa mieszkała w Lublinie” napisana przez Al. Leszka Gzellę. Do redakcji „Kuriera” zgłosiła się telefonicznie pani Maria Nizioł zamieszkała w Lublinie przy ul. Buczka i opowiedziała o swojej okupacyjnej i pookupacyjnej znajomości z Ritą Gorgonową, a na potwierdzenie przysłała oryginalny dokument...

Opowieść państwa Marii i Stanisława Niziołów zaczyna się od opisu słonecznego bytowania w Młynowie koło Dubna, gdzie on był naczelnikiem poczty a ona urzędniczką. Od przeglądania żółtych fotografii ukazujących filigranową, złotowłosą młodą mężatkę na obszernym balkonie domu, podczas kąpieli w ciepłych nurtach Ikwy, na spacerze ze znajomą kapitanową, w eleganckim, miękko połyskującym, czarnym futrze fokowym z „budką”. Wspominam o tym futrze, bo ma ono związek z dalszą historią...

Przed wojną spędzili Niziołowie w Młynowie prawie dziesięć lat. Przez urząd pocztowy przepływała masa czasopism, pracownicy czytali więc szereg gazet i tygodników. Na początku lat trzydziestych cała prasa zachłystywała się wieściami z procesu Gorgonowej. Dla ludzi rozsiadanych po odległych, prawie odciętych od świata zakątkach Rzeczypospolitej, była to sprawa, która wypełniała długie godziny wolnego czasu, dawała temat do dyskusji i rozpalała wyobraźnię. Szczególnie przyciągał się do tego osławiony „Tajny Detektyw” również przychodzący do Młynowa. Fotografie w tygodniku były na najwyższym poziomie technicznym, ale i dobrane pod specyficznym kątem. Tygodnik „ukazywał zranioną rękę Gorgonowej zasłaniającą willę brzuchowicką, wielotysięczny tłum odprowadzający zmarłą Lusie z Krypty O.O. Bernardynów na cmentarz Lyczakowski, Zarembę z młodą urzędniczką na balkonie swojej firmy [...] Gorgonową z dziećmi na tarasie willi w Brzuchowicach [...] Gorgonową na tle więzienia lwowskiego i krakowskiego. [...]”. I tak dalej i tak dalej.

Nie bez pewnej słuszności pisał w 1932 r. dziennikarz „Światowida”: „W każdym razie przejdzie ona (Gorgonowa — MD) do historii jako pewien symbol. Symbol zemsty złej i okrutnej i taką pozostanie już na zawsze w opinii ludu i najszerszych mas bez względu na wyrok”. Jest jeszcze jedna rzecz warta uwagi: w pamięci naszych ojców czy dziadków sprawa Gorgonowej została także zakodowana jako element ich młodości. I dlatego nie dziwię się, kiedy pani Maria Nizioł opowiada w sposób tak szczegółowy o spotkaniu z „piękną Ritą” i kiedy oświadcza z niezachwianą wiarą, że „to ona zabiła...”

Wczesną zimą 1943 roku Maria Nizioł szła przez centralny, zarosły drzewami skwer Krasnegostawu. Było popołudnie, każdego dnia tak wychodziła po męża wracającego z poczty. Mieszkała w Krasnymstawie od początku okupacji, wojna rzuciła ich na rodzinną Lubelszczyznę. W pewnym momencie zobaczyła siedzącą na ławce kobietę, której twarz i postać wydały się jej dziwnie znajome. Kobieta miała na sobie fokowe futro „z budką”, takie same jakie Maria nosiła przed laty w Młynowie. W takim samym też futrze widywała kiedyś pewną czarnowłosą, przystojną kobietę na fotografiach w „Tajnym Detektywie”. Usiadła na ławce obok kobiety i powiedziała ze zdumieniem: „Pani... jest Gorgonowa?”. „Tak” — odpowiedziała tamta jakby wcale nie zaskoczona. „Tak. Tylko teraz noszę już inne nazwisko. Nazywam się Kańska. Emilia Kańska.

JESIENIA tego roku wpłynęła do sądu sprawa z oskarżenia prywatnego przeciwko pewnemu panu. Oskarżyciel stwierdzał na piśmie: „Oskarżony obraził moją godność osobistą, używając względem mnie słów powszechnie uznanych za obelżywe: s... synu, odp. się, to jest przestępstwo przewidziane w artykule 181 § 1 kodeksu karnego, i kopnął mnie w tylną część ciała, to jest przestępstwo przewidziane w artykule 182 § 1 kodeksu karnego”.

Oskarżony utrzymywał, iż w ogóle nie zna oskarżyciela, widzi go pierwszy raz w życiu, ergo nie miał z nim żadnego zajścia i absolutnie nie wie, o co chodzi, albowiem podczas rzekomego zajścia znajdował się w odległości około 200 kilometrów w pracy, na co ma wiarygodne zaświadczenie urzędowe.

Powołany przez oskarżyciela świadek zeznał, iż oskarżonego nie zna w ogóle, oskarżyciela tylko z widzenia i jak przez mgłę, przy zajściu nie mógł być, ponieważ wtedy znajdował się w szkole, a nie przed sklepem z butami, jak podaje oskarżyciel.

— Na jaką okoliczność oskarżyciel powołał świadka, i co świadek ma zeznać, skoro twierdzi, że przy zajściu nie był? — chciał się zorientować sąd.

— Świadek nie był przy tym, ale niech posłucha, jak to było — odpowiedział oskarżyciel.

Na swoje życie Kazimierz Jałowicz,

chłopak 43-letni z prowincjonalnego miasteczka, spoglądał z mieszaniną niesmaku i litości, aczkolwiek określenie „mieszanina niesmaku i litości” raczej nie wpadłoby mu do głowy, lecz najwyżej: „nie jest dobrze” czy „coś nie tak”.

Wpiew nie wyszło mu chłopięctwo, ponieważ była wojna i zamiast zbierać znaczki lub bawić się w Indian, musiał rodzicom pomagać w ryzykownym handlu o zabarwieniu patriotycznym. Potem odumarał go ojciec, który rozpił się kompletnie w trudnych czasach okupacyjnych, i Kazimierz przerwał edukację na dość wczesnym etapie dziewiątej klasy. Zatrudnił się jako goniec w niewielkiej spółdzielni pracy, żeby pomóc matce, skromnej kobiecie, która poza Kazimierzem chowała jeszcze dwie jego młodsze siostry.

I tak jakoś schodziło. Mężczyźni zamienili welwetowe marynarki na samodzielną marynarkę. Z kolei wąskie spodnie i wąskie kłapy na szerokie spodnie i szerokie kłapy. Lata biegly, jakby nie zauważając Kazimierza Jałowicza który ciągle egzystował w niewielkiej spółdzielni pracy, ostatnio jako zaopatrzeniowiec, a mieszkał przy ulicy Bocznej w skromnym lokalu po rodzicach. Siostry bowiem wywedrowały w świat, każda w swoją stronę, mamusia zaś poszła z tego świata. Ergo Kazimierz został sam i podczas porannego golenia coraz częściej spoglądał w lustro z obrzydzeniem. Gęba nijaka, tu zakole się powiększyło nad czołem, tam górna „szóstka” do usunięcia. Nudne oblicze ni to umysłowe, ni to fizyczne.

Zamierzając podbudować swój auto-

rytet społeczny, chciał wstąpić do stowarzyszenia byłych kombatanów, których szeregi rosły, im wojna była odleglejsza. Kazimierz dowodził, że mając dziesięć lat pełnił funkcję łącznika oddziałów leśnych, ale nie mógł przedstawić dwu świadków na tę okoliczność i w grono zasłużone nie został przyjęty.

Życie uczuciowo-płciowe też skąpiło mu spełnień, skazując raczej na monotonię i polowiczność. W szkole na przykład, zamiast podszczypywać jedne piętnastoletnie tyłki swoich koleżanek, zapałał do nauczycielki, starej panny, miłością całkowicie platoniczną i nieujawnioną. Od najmłodszych lat musiał przyzwyczajać się do marzeń o rzeczach nieosiągalnych.

Wertował kolorowe tygodniki, gdzie piękne młode kobiety w towarzystwie wytwornych mężczyzn prezentują eleganckie stroje, neglige i dezabille. Widział siebie w roli jednego z takich wytwornych samców, jak podaje ogień uroczej pani wielkim „ronsonem”, jak wspólnie z dystynkcją popijają wykwintne trunki, a potem, och potem!... Innym znów razem widział siebie, jak w bajecznie kolorowym stroju pirata mierzwił południowych ze straszliwym kordelem w zębach wyzwała z tłustych łap czarnego kacyka półnagą, acz jeszcze niewinną białą brankę...

Rzeczywistość nie dawała powodów do radości wszakże. Nawet wódka, którą Kazimierz Jałowicz spożywał raczej samotnie, nie przynosiła ostatnio złudzenia mocy i potęgi, a tylko zwyczajne zmęczenie, coraz większe, zgał, coraz dłuższe kace i coraz mniej przyjemne rozmowy z kierownikiem, gdy Kazi-

PRAWIE

mierz stawiał się do pracy mocno spóźniony, nieogolony i ze zmierzwiwym włosom.

Kobiety dostępne dlań w życiu nie nosiły się tak elegancko jak te z kolorowych czasopism, pachniały nieco inaczej niż farba drukarska, dezabille miały najczęściej barchanowe, piły „czystą stolową”, a niektóre z nich kazaly sobie nawet płacić. To nie było to.

Jednakże Kazimierz Jałowicz postanowił odmienić swoją egzystencję za sprawą kobiety realnej. Gust miał raczej tradycyjny i nie podobnie mu się dziewczyny nowoczesne, o wąskich biodrach i szczupłych, opalonych udach. Biodra powinny być pełne, uda powinny być pełne i białe. Spragniony kobiety realnej, Kazimierz widział obiekt swoich pożądań i planów małżeńskich co najmniej w kategoriach 55-kilogramowych i na rudo, ponieważ rude mają najbardziej białą karnację ciała.

Taka młoda kobietę widywał na swojej ulicy, wsiadali do jednego autobusu o godzinie w pół do ósmej rano. Obserwował ją z daleka, sam niezauważony. Ustalił, że dziewczyna pracuje na poczcie w okienku i ma na imię Bronka. Szedł za nią, gdy wychodziła z pracy, dowiedział się, gdzie mieszka i jak się

Wyszłam za profesora z Wilna, mieszkam w Turobinie no i... muszę jakoś zarabiać na życie".

Maria Nizioł była oszłamona. A tymczasem kobieta rozgadała się. Może młoda rozmówczyni przypadła jej do gustu, może miała akurat dzień zwierzchni... Opowiedziała Marii, że handluje mięsem, kupuje na wsiach świnie i sprzedaje w okolicy, także w Lublinie. Szuka teraz współczeki i spokojnego miejsca w Krasnymstawie, gdzie mogłaby składować towar. Maria Nizioł nie zgodziła się. Nie chciała wdawać się w nielegalne interesy, trochę obawiała się przygodnej znajomości, a poza tym oboje z mężem współpracowali z konspiracją i nie mogli się wiązać z przypadkowo poznanymi ludźmi. Pożegnała się więc i odeszła. Ale niecodzienna przygoda zapadła jej głęboko w pamięć.

Następnym razem doszło do spotkania z Emilią Kańską na początku sierpnia 1945 r. na Placu Litewskim w Lublinie. Przyjechali właśnie z mężem z Izbicy. Mąż dostał wezwanie do pracy w Urzędzie Pocztowym „Lublin 2”. Czasowo zatrzymali się w mieszkaniu siostry pani Marii, przy obecnej ulicy Buczka 43. Maria Nizioł po całych dniach szukała w mieście mieszkania. I oto w czasie jednej z takich wędrowek natknęła się nos w nos... na przypadkową znajomą ze skweru w Krasnymstawie!

„Rita była w doskonałym nastroju, wyglądała interesująco, nosiła się elegancko. Prawie rzuciła mi się na szyję, jak przyjaciółce... Powiedziałam jej, że mam kłopot, szukam mieszkania. Odparła, że już tego kłopotu nie mam: właśnie wyprowadza się z Lublina i może przekazać mi swój przydział. Mieszka od pewnego czasu w Lublinie i to zaraz tutaj, niedaleko.”

Miała wygodną garsonierę na trzecim piętrze kamienicy przy ul. Kollataja 3. Była to część obszernej, trzypokojowej apartamentu, należącego do właścicielki domu, pani Walińskiej. Pokój był od frontu, dwa okna wychodziły na ulicę. W mieszkaniu zastały przystojnego oficera. Sprawiał wrażenie, że pozostaje z Gorgonową w zżytych stosunkach.

Emilia Kańska vel Gorgonowa szykowała się do wyjazdu do Oleśnicy koło Wrocławia. Przenosiła się tam ze swoją znajomą Józją — wiejską kobietą, prawdopodobnie z okolic Krzczonowa lub Wólki Lubelskiej — z jej mężem i trojgiem ich dzieci. Mieszkanie na Kollataja było umeblowane dostatanio, świadczyło, że jego użytkownicy dobrze się powodzi. Większość rzeczy Kańska-Gorgonowa zabrała w czasie kilkakrotnych wizyt w odstąpionym Niziołom mieszkaniu, resztę wzięła Józia oraz jej brat przyjeżdżający ze wsi furmanką.

Mąż Józji miał objąć w Oleśnicy jakąś poniemiecką karcznię czy młyn. Nie wiadomo po co wybierała się z nimi Kańska. Podobno szukała kontaktów z rodziną w Jugostawii, chciała się tam przedostać. Urodziła się na wyspie Zlavin, w gminie Knin. Często mówiła o sobie, że jest Chorwatka, miała charakterystyczną południową urodę i takiż temperament, mówiła z lekkim obcym akcentem. Uważała się za osobę skrzywdzoną, skazaną niewinnie. Też skłaniała za urodzoną w więzieniu córką Ewą Krystyną — Kropelką, która przed wojną została oddana przez sąd na wychowanie do sierocińca we Lwowie. Podobno odwiedziła Kropelkę po wyjściu z więzienia, ale dziecko nie poznało jej i oświadczyło, że wie dobrze, iż „mamusia umarła”. W czasie napaści Niemców na Związek Radziecki sierocińca został ewakuowany w głąb kraju. Henryk Nizioł napisał w sierpniu 1945 r. na prośbę Kańskiej list do Związku Patriotów Polskich z prośbą o wszczęcie poszukiwań Kropelki. Jakże były dalsze losy tego listu, czy został w ogóle wysłany, czy matka dostała jakąś odpowiedź już podczas pobytu w Oleśnicy — nie wiadomo.

Zbiegiem okoliczności przechował się w papierach państwa Niziołów dokument zaopatrzonej w podpis

Emilii Kańskiej. Jest to drukowany we wrześniu 1944 r. w Lublinie formularz przydziału mieszkania. W nagłówku napis: „Miejska Rada Narodowa w Lublinie Zarząd Miejski. Wydział Mieszkaniowy. Nr 4968/44. Lublin, dn. 16.IX — 1944.

Panu (i) — Kańska Emilia — przydziela się mieszkanie przy ulicy — Kollataja Nr 3 m. 10 — składająca się z 2 pokoi z kuchnią (dopisek: z używalnością — MD) jako lokatorowi. Naczelnik Wydziału” (Podpis nieczytelny i pieczęć okrągła).

Na odwrotnej stronie tego dokumentu napisano niebieskim atramentem: „Zgadzałem się na przyjęcie państwa Niziołów na mieszkanie jako sublokatorów. E. Kańska. Lublin, 12 VIII.1945.”

Dwa tygodnie po opublikowaniu w „Kurierze Lubelskim” wiadomości opartej na relacji Marii Nizioł, do redakcji nadszedł obszerny (dotąd nie publikowany) list mieszkanka Turobiny, M. Sławka. Korespondent podaje w nim szereg wiadomości o pobycie Emilii Kańskiej w Turobinie: „Pani Gorgonowa, średniego wzrostu, przystojna, zgrabna i wymowna pojawiła się w Turobinie w początkach okupacji niemieckiej i zamieszkała u p. Piotra Puchali. [...] Trudniła się przeważnie handlem [...] kupowała masło, jajka, bimber, i kiełbasy. [...] Z tym ładunkiem często szła do Turobiny 4 km drogi, w jednej ręce jedną walizką, w drugiej — druga walizka, a na głowie kosz pełen jajek. Ludzie podziwiali jej zdolność i siłę. Te towary wywoziła furmanką do Lublina i tam wyprzedawała [...] W biurze w Turobinie pracował jakiś to profesor Kański i z tym profesorem zapoznała się p. Gorgonowa i wyszła za niego za mąż, ślub brali w kościele narodowym w Grodkach gmina Turobin. Ciche przyjęcie weselne odbyło się u p. Puchali, na tym przyjęciu i ja byłem, wódkę piłem, życząc nowej parze sto lat. [...]”

M. Sławek podaje szereg nazwisk i obecnych adresów ludzi, którzy wspólnie z Gorgonową-Kańską trudnili się handlem, a których tutaj nie przytaczam. Należy natomiast odnotować, że Kański, człowiek zresztą dużo starszy od poślubionej małżonki, został aresztowany przez Niemców pod zarzutem nielegalnych operacji finansowych, był sądzony w Krasnymstawie i skazany na trzy lata więzienia. Emilia Kańska często odwiedzała męża w więzieniu zawiązywała mu paczki żywnościowe. Po pewnym czasie przestała jeździć do Krasnegostawu a znajomym mówiła, że profesor został wywieziony do innego więzienia. Może podczas jednej z ostatnich wizyt poznała ją na skwerze w Krasnymstawie Maria Nizioł?

Tymczasem Kańska związała się z jakimś R. (tu korespondent wymienia nazwisko), który także w czasie okupacji znalazł się w Turobinie i zaczęli wspólnie prowadzić, na większą już skalę, handel mięsem między Turobiną a Lublinem. (...) „Po wyzwoleniu Polski jechałem z p. Gorgonową do Lublina z Turobina furmanką i wywiązała się miła i ważna rozmowa między nami. Pani Gorgonowa opowiadała o swoim życiu: (...) „... byłam trzy razy bogata, miałam złoto, klejnoty i trzy razy byłam biedna — miałam tylko to, co na mnie.” „A co było powodem, że pani wyszła za tego p. profesora, toć on starszy, a pani jeszcze młoda?” Rzekła: „panie kochany, były mąż — ten pan profesor, dał mi duszę, wielki skarb, on mnie uszczęśliwił, bo mi dał nowe nazwisko, a dla mnie to było najważniejsze, już się nie nazywam Gorgonowa. [...]” Po zerwaniu z R., Kańska miała się związać z pochodzącym spod Lublina S., z którym również handlowała świniami. Jakoby pojawiła się jeszcze w okolicach Turobiny, w interesach, w 1950 r. i wówczas została obrabowana przez bandytów. Po tym wydarzeniu (...) prawdopodobnie miała powiedzieć, że już wyjadę z Polski do swego kraju (bo ona nie była Polką), już mnie tu więcej

nikt nie zobaczy. I od tej pory o Gorgonowej ucichło, aż pewnego roku pisała prasa o Gorgonowej, „Prawo i Życie” (reportaż Edmunda Żurka w kwietniu-maju 1973 r. — przyp. M. D.) i obecnie poruszyło Wasze piśmo (sprawę Gorgonowej. [...])”

Czytelnik zauważył, że wystrzegam się stawiania jednoznacznych stwierdzeń co do autentyczności osoby Gorgonowej. Wiadomo na pewno, że Emilia Kańska, na której istnienie są dowody, nie zaprzeczała, kiedy identyfikowano ją z bohaterką głośnego procesu, a często sama mówiła, że jest „sławną” Gorgonową. Pewne partie relacji pp. Niziołów, o których nie mógł wiedzieć M. Sławek, znajdują potwierdzenie w jego liście. Istnieje też niezbity dowód, że Emilia Kańska mieszkała przy ul. Kollataja w Lublinie. Jest nim przydział na mieszkanie. Ale nie ma dowodu na to, że Kańska to Gorgonowa. Składając wiadomo, że zdarzają się ludzie, którzy chętnie „pożyczają” sobie sławę od innych, choćby to była sława najgorsza.

Wychodzę z bramy domu przy ulicy Buczka i jeszcze mam w uszach słowa właścicielki mieszkania: „Koniecznie muszę jutro pójść do kina zobaczyć Gorgonową. Czy ona jest taka sama jak my ją znaliśmy?” — mówi Henryk Nizioł. „Ja nie pójde jeszcze raz jej spotykać” — mówi Maria Niziołowa. „Jestem chora na serce...”

Ulica Kollataja... Po paradnych schodach eleganckiej niegdyś kamienicy wspinam się na najwyższe piętro, staję przed drzwiami mieszkania numer dziesięć. Na suficie rysuje się w mroku resztki dawnego plafonu: różowy amarek trzyma w lewej ręce tutek, w prawej — strzałę, skierowaną jakby do uderzenia...

Red. Leszkowi Al. Gzell dziękuję za informację i udostępnienie interesujących materiałów.

*) Z którego zaczerpnąłem niektóre wiadomości i cytaty.



Ulica Kollataja 3. Tutaj, na trzecim piętrze (dwa okna z prawej strony) mieszkała Emilia Kańska-Gorgonowa.

Fot. J. Trembecki

PORNO...

Maciej Podgórski

nazywa. Mieszkał się z tłumem interesantów na pocztę, przypatrywał swojej wybrance, raz nawet kupił u niej znaczek na list i spiesznie oddał go, bo nie zamierzał pisać na razie.

Tak chodził za nią parę lat, zawsze z daleka, w cieniu, i obmyślał, jak by tu zaaranżować sytuację wzajemnego poznania. Ona pada na oblódnym chodniku, on podbiega z pomocą, zatrzymuje przejeżdżającą taksówkę i wiezie Bronkę do szpitala. Jej wrzuszająca, dziecienna wdzięczność potem, zaproszenie do mamusi i tatusia na kolację, to jest właśnie ten pan, który mnie uratował.

Tymczasem jednak ruda piękność mocno trzymała się na nogach i ani myślała padać, tylko biodra i uda coraz bardziej jej się zaokrąglaly, ponieważ dziewczyna szła w swoje lata trzydzieste. A Kazimierz swoje wizje poznania Bronki przenosił w czasie coraz odleglejsze, tyle że do tyłu. Bronka otoczona przez Niemców w odludnej leśniczówce. Leśniczki zabity, żona leśniczego trzęsąca się ze strachu galareta. Bronka zrezygnowana, tylko w modlitwie pokładająca nadzieję. Kazimierz w oficerkach, bryczesach, panterce i ze stenem w ręku na czele swego oddziału otacza Niemców, którzy otaczają Bronkę, wybija

wroga do nogi. Wrzuszająca, dziecienna wdzięczność Bronki i tak dalej.

Osobiste nieszczęście Kazimierza Jałowca zaczęło się w tym momencie, kiedy będąc raz na pocztę, z rozmów, które Bronka prowadziła z koleżankami, z półstówek i gratulacji zorientował się, że jego kobieta wyszła za mąż, i to nie za byle kogo, lecz za technika budowlanego ze stolicy rodem.

Teraz przed Kazimierzem Jałowcem stało poważne zadanie ratowania swojego szczęścia. Jeżeli technik jest z Warszawy, pomyślał, to ona z miasteczka wyjedzie do Warszawy. I słusznie pomyślał, ponieważ Bronka niebawem zniknęła z pocztę. Wtedy Kazimierz zaczął czatować na Bronkę pod domem jej mamusi w miasteczku, rozumując, iż młoda para będzie mamę-teściową odwiedzać. Na wszelki wypadek wziął urlop w pracy, ale nie omylił się w swoich oczekiwaniach. Małżeństwo przyjechało do miasteczka na święta, a po świętach wracało do Warszawy. Za nimi zaś jak cień Kazimierz Jałowiec. Dowiedział się, gdzie mieszkają i tak się nazywa mąż Bronki...

— Czy oskarżyciel prywatny, Kazimierz Jałowiec, zna oskarżonego, bo oskarżony twierdzi, że nie zna oskarżyciela? — pyta sąd.

— Ja znam oskarżonego, bo on mnie kopnął i zbliździł w tym miasteczku dnia czwartego października zeszłego roku przed sklepem z butami. Obecna tu Bronka jest żoną oskarżonego i ona mnie lubi, gdyż to spokojna dziewczynka. Jestem zły na Bronkę, bo czekałem

tyle lat, a ona nie przybywa, a ja chciałem się z nią ożenić, bo ona bardzo mi się nadała. Nie wiem, czy ona chciała za mnie wyjść za mąż. Ja znam Bronkę od paru lat.

— Czy to jest ta Bronka, z którą oskarżyciel chciał się ożenić? — sąd wskazuje na świadka, ponieważ musi mieć pewność.

— To jest ta Bronka, z nią chcę się ożenić i ona powinna mnie lubić i ożenić się ze mną. Ja bardzo proszę sąd, żeby sąd coś zrobił i przymusił Bronkę, żeby się ze mną ożeniła. Mnie o nic więcej nie chodzi, tylko o rozwód w tej sprawie.

— Czy świadek Bronisława zna oskarżyciela i wie, że chciał się z nią ożenić? — pyta sąd.

— Nie znam oskarżyciela, Kazimierza Jałowca — odpowiada kobieta.

— Po co opowiadać głupoty, kiedy Bronka mnie zna — wyrzywa się oskarżycielowi.

— Oskarżony, mąż Bronisławy, ma wiarygodne zaświadczenie, iż w dniu rzekomego zajścia nie był w miasteczku — zauważa sąd pod adresem oskarżyciela.

— To zajście nie było w zeszłym roku, tylko trzy lata temu, ale adwokat kazał mi napisać, że w zeszłym roku, bo by było przedawnione. Oskarżony kopnął mnie i od tamtej pory jestem przestraszony, budzę się w nocy, jeszcze czuję ból.

— Ale oskarżony twierdzi, że w ogóle nie zna oskarżyciela, nie mógł go więc kopnąć — przypomina sąd.

— Mnie ktoś kopnął, może to i nie on. Przyznaję, że ja nie znam oskarżo-

nego, widzę go dopiero pierwszy raz. Bo skąd go mogę znać. Ja proszę sąd, żeby sprawę załagodzić i żeby oskarżony wziął rozwód z Bronką. Chciałbym się ożenić z Bronką, tylko o to mi chodzi w tej sprawie. Ta cała sprawa dużo mnie kosztowała, bo muszę płacić adwokatowi za pisanie pism. Już ze trzy tysiące się wykosztowałem.

— Oskarżyciel w tej sprawie nie może domagać się rozwodu świadka Bronisławy z oskarżonym i w ogóle uprawnienia takie mu nie przysługują również w sprawie cywilnej — poucza sąd. A po krótkiej przerwie ogłasza wyrok uniewinniający oskarżonego męża Bronisławy, zaś kosztami postępowania obciążając oskarżyciela prywatnego, Kazimierza Jałowca.

— Zrozumiałem treść wyroku, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego sąd nie dał rozwodu oskarżonemu, żeby mógł się ożenić z Bronką, skoro ludzie się rozwodzą. W tej sytuacji chyba będę musiał zrezygnować z małżeństwa i do końca życia pozostać sam — stwierdził na koniec oskarżyciel prywatny. Na tym posiedzenie zakończono.

Kazimierz Jałowiec w terminie uiszczył opłatę na koszt postępowania, choć jego sytuacja materialna mocno podupadła w związku z procesem. Chodzą słychy, że nie zamierza wbrew zapewnieniom przed sądem, pozostać kawalerem. Zamierza ożenić się z Bronisławą matką, która jest wdową, i w dodatku rudą.

Halina Chutna-Pęcowska

Nie lubię granatu
przytłacza
przyciska mnie do ziemi
Smutno
jesiennym późnym wieczorem
na pustym peronie
Samotnie
Wiem że nie przyjedzie
mój pociąg
i nie mam dokąd odjechać
I nikt na mnie nie czeka
I ja nie czekam nikogo
Zostanę samotna i obca
na pustym peronie
wzruśniętej jesieni.

Człowiek przechodził
Mija pudełka zdobione
różnobarwnymi nalepkami
na intymność
Mija pudełka ludzkiej nudy
Stoje przed drzwiami własnego
mieszkania
Zastanawia się długo przez sekundę
czy będzie znów tak samo
Otwiera drzwi
Widzi przedmioty własnego
królestwa
Widzi wszystko prócz życia
Siada w głębokim miękkim fotelu
Bierze do ręki książkę
Czyta o szczęściu
o miłości
Uśmiecha się
CZŁOWIEK

Czy można kochać sny?

Morze fioletową falą zalewało kolorowe panie i ich muryznowy,
Twoje stare oczy i czerwony lakier na moich paznokciach
Zakryłam ci oczy dłońmi. Trzymałeś mnie w ramionach,

Nie wyszłam żeby zobaczyć cię po raz ostatni,
Bałam się milczenia, a przecież nie moglibyśmy mówić.
Kiedy później poszłam nad morze, zobaczyłam mgłę.
Wiatr szepnął, że to mgła twoich oczu.
Przysiadł kolo mnie, całowałam nitki babiego lata, pocałunki
kazałam zanieść tobie.

Wydało mi się, że pukasz do okna.
Otworzyłam szklaną bramę. Wszedłeś w moje ramiona.
We włosach przyniosłeś babie lato.
Spojrzałam ci w oczy i zobaczyłam czarnego kota siedzącego w oknie.
Długo leżałam patrząc w ciemność jutrzejszego dnia.
Zadzwoił telefon, nie podniosłam słuchawki, przecież to nie ty.
Nie czekałam już na przemianę wody w krew, pokrzywy w różę,
wspomnienia w rzeczywistość. Nie czekałam na wiatr, ptaki, kwiaty.

Za oknem mgła i tylko to przypomina mi ciebie, i tylko to pozwoli
o tobie zapomnieć.

A kot, idiota, udaje szczęśliwego.

Rola inteligencji wiejskiej

Wojciech Mazurkiewicz

W Zamościu obradowała ogólnopolska sesja naukowa poświęcona „Roli placówek upowszechnienia kultury w przeobrażaniu wsi współczesnej”. Referaty wygłosili: W. Sandecki, dyrektor departamentu bibliotek, domów kultury i działalności społeczno-kulturalnej Ministerstwa Kultury i Sztuki („Polityka kulturalna państwa wobec wsi w świetle uchwały VII Zjazdu PZPR”), J. Wojnowicz, dyrektor wydziału kultury i sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Zamościu („Aktywizacja kulturalna wsi na przykładzie województwa zamojskiego”), M. Marczuk, prodziekan Wydziału Pedagogiki i Psychologii UMCS w Lublinie („Kadra pracowników upowszechniania kultury na wsi — zadania, stan i potrzeby”), R. Królikowski, dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie („Rola gminnych ośrodków kultury w przeobrażeniu środowiska wiejskiego”), H. Borzecka, Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie („Zadania wiejskich klubów kultury w procesie przemian kulturalnych”), W. Mazurkiewicz, Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS („Rola inteligencji wiejskiej w przeobrażeniach na wsi”) — skróconą wersję tego referatu publikujemy poniżej.

tułaca życie kulturalne mieszkańców wsi. Pomijając społecznikowskie tendencje dawnej inteligencji w przedwojennej Polsce, wskazać można olbrzymie zaangażowanie nowej inteligencji wywodzącej się z klasy robotniczej i chłopskiej, w pierwszych latach powojennych. Najbardziej czynną wówczas grupą byli wiejscy nauczyciele, często jedyni przedstawiciele tej warstwy. Współdziałając z organizacjami społecznymi, aktywnie uczestniczyli w akcji oświatowej, organizowali i prowadzili amatorskie zespoły artystyczne, inicjowali czyny społeczne itp. Na wsi współczesnej, szczególnie w miejscowościach gminnych, mieszka już wielu przedstawicieli różnych zawodów, którzy odpowiednio inspirowani mogą kontynuować te piękne tradycje. Warunki życia na wsi nie pozwalają nikomu stać na uboższ, zmuszają do uczestnictwa w społecznym życiu, gdyż zgodnie ze słowami Józefa Chalasińskiego „inteligencja wiejska, przywiązana do wsi, pragnąca pracować na wsi, z natury rzeczy „skazana” jest na udział w życiu społecznym wsi, na udział w pracy społecznej”.

Istotnym więc zadaniem dla ludzi odpowiedzialnych za kształt kultury wiejskiej jest formowanie zaangażowanych społecznie postaw inteligencji, gdyż trudno założyć, że wszyscy jej członkowie są w pełni gotowi do włączenia się w nurt życia kulturalnego wsi. B. Golebiowski wyróżnia trzy postawy inteligencji wiejskiej: tradycyjnie-społecznikowską — liczebnie najrzsadszą, nacechowaną poczuciem misji a la Siłaczka, indywidualistyczną — charakteryzującą się brakiem zaangażowania społecznego, społeczno-kulturową — polegającą

na aktywnym kształtowaniu i przeprowadzaniu z całą wsią szeroko rozumianego procesu przemian społeczno-ekonomicznych i kulturalnych.

Konieczną rzeczą jest kształtowanie ostatniej z tych postaw. Na społeczno-kulturowe funkcje inteligencji zwracają uwagę organizatorzy życia społecznego wsi: pracownicy aparatu partyjnego, administracji gminnej, kierownicy instytucji i przewodniczący organizacji społecznych. Na podstawie badań przeprowadzonych w woj. zamojskim można stwierdzić, że uważają oni inteligencję za potencjalne źródło organizatorów życia kulturalnego w gminie. Potrafia również określić konkretne zadania, które winna podjąć miejscowa inteligencja. Należą do nich: 1) organizowanie i prowadzenie amatorskich zespołów artystycznych, 2) pomoc pracownikom placówek kultury w ożywieniu życia w środowisku, 3) praca z młodzieżą — rozwijanie sportu i turystyki, 4) organizowanie odczytów i spotkań z interesującymi ludźmi, 5) współpraca z twórcami ludowymi i utrwalanie folkloru wiejskiego.

Nie oznacza to jednak, że zaangażowanie społeczne inteligencji oceniane jest dodatnio. Znaczna większość badanych (82 proc.) stwierdziła brak aktywności, uzasadniając taki stan najczęściej dodatkową pracą w gospodarstwie rolnym (jeden z naczelników gmin użył określenia „chłopo-inteligencja”), dużym obciążeniem pracą zawodową, niechęcią do pracy bez wynagrodzenia, brakiem lokalni na zajęcia kulturalne, brakiem tradycji w środowisku czy dozwolą do pracy.

Sytuacja taka obliuguje do podjęcia prób określenia metod i środków aktywizujących interesujące nas środowisko. Zadanie to nabiera szczególnego znaczenia w ostatnich latach, kiedy to po przeprowadzonej w 1975 r. reformie administracyjnej kraju gmina stała się ośrodkiem mającym istotny wpływ na kształtowanie się oblicza politycznego, gospodarczego i kulturalnego terenu. Duża samodzielność zmusza do wykorzystania wszelkich możliwości tkwiących w lokalnym środowisku, w tym także możliwości inteligencji.

O potrzebie wykorzystania wiedzy i umiejętności świadczy zakres jej zainteresowań, których wyraźne sprycyzowanie deklarują 65 proc. badanych inteligentów. Najczęściej wymieniane zainteresowania to: czytelnictwo, fotografia, kolekcjonerstwo, poezja, muzyka, teatr, malarstwo, sport i turystyka. Deklarowane zainteresowania nie pokrywają się jednak z zajęciami w czasie wolnym. Najwięcej osób przeznaczają ten czas na czytanie książek i prasy (65 proc.) oraz oglądanie telewizji (45 proc.) Natomiast pracą społeczną zajmuje się tylko 8 proc. badanych, w dziedzinie kultury zaś udziela się 1,6 proc. Jednakże duża grupa (37 proc.) zgłosiła chęć udziału w pracy placówek kultury, zastrzegając na ogół pomoc ze strony władz czy ograniczając swój udział do okresu jesienno-zimowego.

Uwzględniając możliwości wykorzystania inteligencji do działań skierowanych na otoczenie społeczne, wyodrębnić można jej różnorodne funkcje, występujące w poszczególnych grupach, czy u jednostek w różnym stopniu nasilenia. Funkcje te, wydzielone ze względu na charakter aktywności, można określić jako: inicjatorską, organizatorską, stymulującą i instruktorsko-kreującą.

Funkcja inicjatorska polega na rozbudzaniu określonych zainteresowań kulturalnych środowiska, wskazywaniu nowych potrzeb, porywaniu społeczeństwa do czynów społecznych, wskazywaniu dróg wiodących do zaspokojenia rozbudzonych pragnień. Druga z nich związana jest z nadawaniem określonych form organizacyjnych wszelkim poczynaniom kulturalnym środowiska. Funkcja stymulująca to podtrzymywanie ciągłego stanu niedosytu. Znane są przypadki zanikania różnych form działalności kulturalnej w wyniku braku podjętych, subiektywnego uznania, że nie już więcej zrobić nie można. Ostatnia z omawianych funkcji jest domena ludzi posiadających bogatą wiedzę i warsztatowe umiejętności związane z możliwością wprowadzania innych ludzi w sferę różnych dziedzin kultury. Jest związana z praktyczną działalnością różnorodnych zespołów amatorskich, zdobywaniem przez ich członków konkretnych umiejętności, a także, co jest najważniejsze, kształtowaniem ich osobowości oraz twórczych postaw.

Obok tych czterech funkcji można mówić również o funkcji wzorotwórczej lub przenoszenia wzorów, która często realizuje się nie na zasadzie celowego oddziaływania, lecz naśladowania przez środowisko sposobów postępowania przyjętych przez miejscową inteligencję. Dostrzegając podstawowe trudności ograniczające rozwój życia kulturalnego wsi (najczęściej wymieniane to: baza, kadra i finanse), należy oczekiwać rozwiązań uwzględniających aktualne możliwości gminy.

Przyglądając się szalom wagi...

Maria Bechcysz-Rudnicka

STOSUJĄC nadal retrospekcje wynikające z zasady przybliżania w czasie spraw bliższych w przestrzeni, powrócę do Mego Festiwalu Przyjaźni dopiero w styczniu, z całym przekonaniem, że nie straci na aktualności, przyświeca mu bowiem przyjaźń nieprzemijająca. Zachodzi natomiast pilna potrzeba omówienia dwóch premier Teatru im. J. Osterwy, które zamykają bieżący rok teatralny, co *eo ipso* pobudza do refleksji ogólniejszej natury. A więc będzie tu teraz mowa o pozycjach tak różnych jak „Celestyna” Fernando de Rojas i „Niespokojna starość” Leonida Rachmanowa.

Pierwszy pełny przekład polski „Celestyny” z hiszpańskiego oryginału, dokonany przez Kazimierza Zawadowskiego, został opublikowany wraz z wstępem tłumacza w r. 1962 staraniem PIW-u (część owego wstępu znajdujemy w programie teatralnym, ale warto przeczytać całość, gdyż końcowe passusy zawierają ciekawe wiadomości o kontrowersjach dotyczących miejsca akcji utworu oraz o jego wielkim wpływie na literaturę hiszpańską). Sukces wydawniczy „Celestyny” był ogromny — stwierdza Zawadowski... — w ciągu jednego tylko stulecia doczekała się większej ilości wydań niż „Don Kichot” w takim samym okresie. W XVI w. wydano ją aż 64 razy. W latach 60-tych naszego stulecia liczone już (po przelocie wieku XVIII) około stu edycji hiszpańskich i kilkudziesięciu poza Półwyspem Iberyjskim.

Osobiście, czytając ową dialogowaną historię tragicznej miłości Kaliksta i Melibei, których pragnienia spełniają się w konsekwencji brudnych machinacji rajfurki Celestyny (trudno o imię bardziej kontrastowe w stosunku do charakteru!) tudzież wyrachowanej pomocy sług Kaliksta, zdemoralizowanych przez układy społeczne, a więc czytając tę rzecz *in extenso*, doszłam do naturalnego wniosku, iż zawdzięczała ona swą zawrotną popularność przede wszystkim drastycznej treści. Albowiem, jeśli chodzi o fakturę literacką, samo zestawienie „Celestyny” z „Don Kichotem” zakrawa po trosze na świętokradztwo.

Nie znaczy to oczywiście, by wolno było lekceważyć ten szacowny — mimo wszystko — zabytek piśmiennictwa hiszpańskiego. Autor — księgarz Fernando de Rojas czy, powiedzmy, inny, definitywny anonim (skoro na temat autorstwa też toczy się spór między badaczami literatury), wykorzystując legendę o „miłości aż do śmierci” w guście czytelników romansów rycerskich, kreśli wierny obraz satyryczny współczesnego mu społeczeństwa. Nikt tu nie został oszczędzony prócz rodziców Melibei, całkiem pasywnych, prawie nieobecnych. Podałabym w wątpliwość zdanie Zawadowskiego, że *efektowną przeciwumą świata zbrodni i występku stanowi świat wzniosłych uczuć i idealnej miłości reprezentowany przez Kaliksta i Melibęę*. W gruncie rzeczy miłość ich, na wskroś zmysłowa, jawi się nam w otoczeniu konwencjonalnych pozorów czystości i wzniosłości. Przeciwwstawione są raczej sposoby mówienia o miłości: jedrna, rubaszna mowa gminu (przetykana jednak tu i ówdzie „uczonymi” cytatami) — kwiecistej frazeologii sfer wyższych. Kwiecistej tak dalece że nasuwa niekiedy podejrzenie o parodystyczne zamiary autora (co mogłoby być prekursorem w odniesieniu do „Pociesznych wykwinis” Moliere). Autor bowiem był człowiekiem niewątpliwie posiadającym umysł dociekliwy, bystry oraz kolosalną znajomość ludzi i życia (że już nie mówię o obszernej wiedzy humanistycznej). Jego dzieło jest, rzecz można — całe naszpikowane nadzwyczaj trafnymi sentencjami filozoficznymi i psychologicznymi, zaczerpniętymi z mądrości ludu bądź wynikającymi z własnych rozważań. Nadto znajdował czytelnik oryginału „Celestyny” ciekawą galerię nader żywo nakreślonych postaci: oto egocentryk, monoman, Kalikst, o którym dochodzą wieści, iż przy łada okazji, zniecierpliwiony, może nie poskąpić batogów sługom, wciągany przez niego w niebezpieczne przygody. Oto „eteryczna” Melibea, rozprawiająca górnolotnie o czeł i nocie — „czary” rzucą ją zbyt łatwo w ramiona kochanka; Sempronio, mądry życiową mądrością sługi, dążącego do największych nielegalnych zysków przy najmniejszym nakładzie ryzyka; Parmeno, o dziw — uczciwy z natury, w końcu uzyskujący świadomość określoną bytem wyzyskiwanego sługi. Oto Ellicja i Areusa, „dziewczęta” żyjące z rozpusty, bezwstydne, chciwe, bezwzględne w żądaniach, lecz na swój sposób przywiązane do ich „opiekunki”, Celestyny. I wreszcie ta Celestyna, stara rajfurka, chodząca w niesławnej glorii wobec powszechnego zapotrzebowania na jej usługi (nawet bodaj kleru, „od opata do zakrystiana”), niegdyś, u szczytu powodzenia, zasiadająca do stołu w towarzystwie dziewięciu podopiecznych dziewcząt, z których najstarsza nie przekroczyła osiemnastu lat, a żadna nie miała mniej niż czternaście. Jest to charakter, który wymaga wręcz kreacji scenicznej, tak złożony, że wywołuje chwilami litość, a nawet podziw dla umiejętności w zakresie kosmetyków, lecznictwa itp. Postać to bardzo niebezpieczna, bo z jej plugawych ust pada niejedna słusna sentencja.

I teraz powstaje pytanie, czy owa „Tragedia Kaliksta i Melibei”, mieszcząca w sobie... *mnóstwo sentencji filozoficznych i wskazań dla młodzieży nieodczuwanych, aby wiedziała, jakiego fałszu i podstępów doświadczyć może od sług swoich i rajfurek — czy ma ona jakieś walory przydatne dla młodzieży dzisiejszej, czy też będzie po prostu zaspokajała niezdrówą ciekawość?*

Prapremiera polska tej rzeczy odbyła się, jak wiadomo teatromanom w r. 1947 w łódzkim Teatrze Wojska Polskiego, w inscenizacji Leona Schillera, który wykorzystał przekład francuskiej adaptacji Marcela Acharda. Widziałam to iście schillerowskie widowisko, monumentalne, ostro satyryczne, z procesją Inkwizycji, ze znakomitym aktorstwem. Jak ktoś słusznie zauważył, po Schillerze długo nikt nie odważył się wziąć na warsztat „Celestyny”. Przy kilku późniejszych premierach teatralnych wykorzystywano nadal adaptację Acharda, nawet gdy istniał już pełny przekład Zawadowskiego.

Adaptacja Janusza Ostrowskiego, absolwenta krakowskiej PWST, zaangażowanego do Teatru im. J. Osterwy na etat reżysera, jest pierwszą teatralną adaptacją w oparciu o przekład Kazimierza Zawadowskiego. I wybór jej na naszą scenę należałoby pochwalić, gdyby praca J. Ostrowskiego była udatna. Niestety, jednak tak nie jest. Janusz Ostrowski podjął się zadania przekraczającego na razie jego możliwości. To, czego dokonał, nie jest w gruncie rzeczy adaptacją, lecz rezultatem normalnej czynności reżysera, który biorąc do ręki dzieło, dialogowane od a do zet, ale liczące 185 stron druku, musi zredukować je do rozmiarów odpowiadających warunkom scenicznemu. Otóż porażka młodego adaptatora polega na tym, że spod jego ołówka reżyserskiego wyszła



Leonid Rachmanow — „Niespokojna starość”. Nina Czarska (Maria Lwowna) i Stanisław Olejarnik (Profesor Poleżajew)

„Celestyna” sprowadzona do prymitywnej anegdoty „romansowej”, przyprawiona spotęgowanymi chwytami obscenicznymi (w scenie biesiady w domu Celestyny), wyjąłowana z celnej satyry socjalnej, skierowanej w oryginale przeciwko obłudnikom i świętoszkom wszelkiego autoramentu.

Wystawienie takiej „Celestyny” zaiste nie miało sensu.

Na domiar nieporozumienia popełniono kilka kardynalnych błędów w obsadzie. Sygnalizuję w ostatnim czasie już nie po raz pierwszy wadliwe obsadzenie sztuk w naszym teatrze, które nie zawsze daje się umotywić przyczynami obiektywnymi. Wobec podobnej sytuacji w danym wypadku, jako miłoś-

niczka dobrego teatru w ogóle, od trzydziestu przeszło lat przyjaźnie usposobiona zwłaszcza do lubelskiej sceny dramatycznej, wolę tym razem poprzestać na powyższych uwagach, nie omawiając szczegółowo realizacji „Celestyny” w reżyserii Janusza Ostrowskiego. Chciałabym jedynie odnotować niewątpliwy sukces Małgorzaty Niespałowskiej, którą Lublin poznaje dopiero od niedawna. Młoda aktorka gra Melibęę z dużą finezją i wdziękiem.

SZCZĘŚCIEM, w odróżnieniu od „Celestyny”, na szczere uznanie zasługuje druga pozycja wystawiona w Teatrze im. J. Osterwy w końcowym okresie roku 1977.

„Niespokojna starość” L. Rachmanowa jest dobrze napisaną sztuką kameralną poruszającą doniosły problem postawy inteligencji w obliczu przemian dziejowych, kiedy różne kłopoty, zwłaszcza ekonomiczne, i wszelakie wypaczenia, spowodowane głębokim wstrząsem, mogą przesłonić niejednego człowieka dobrej woli wielkie wartości, w imię których burzy się stary „porządek”. Analogiczny problem poruszył ostatnio znakomity dramaturg radziecki A. Szejn, tylko że na przykładzie bardzo skomplikowanej struktury psychicznej — sławnego poety Aleksandra Błoka. Chodziło też o to, by za „grymasami października” nie przeoczyć jego wielkości.

W takich momentach, ażeby stanąć po właściwej stronie barykady, trzeba posiadać zdolność sięgania wzrokiem w przyszłość, trzeba nieprzeciętnego hartu ducha, gotowości do codziennego, cierpliwego wyrzekania się osobistych korzyści, trzeba odwagi i wytrwałości do aktywnego udziału w walce i w budowie nowego życia.

Wszystkie te zalety ma główny bohater „Niespokojnej starości”, 75-letni profesor Poleżajew, którego prototypem był, jak szeroko wiadomo, znakomity uczonej rosyjski Timiriazew.

Oczywiście od strony roboty literackiej nie może być mowy o porównywaniu „Niespokojnej starości” z „Wersją” Aleksandra Szejna, interesującą wyrobionego widza m. in. swą atrakcyjną, nowoczesną fakturą, ale aż dziw bierze, do jakiego stopnia są nadal aktualne treści prostej realistycznej sztuki Rachmanowa wobec coraz bardziej komplikujących się problemów świata. Chyba jedynie jej klarowność i jednoznaczność wskazują na fakt, że została napisana wiele lat temu.

Dobrze się tedy stało, że Teatr im. J. Osterwy wystawił „Niespokojną starość” z należytą pieczołowitością, powierzając jej inscenizację reżyserowi specjalnie zaproszonemu z Brześcia na zasadzie wymiany artystycznej pomiędzy Teatrem im. Lenińskiego Komsomolu Białorusi a Teatrem im. J. Osterwy. Kunszt reżyserski Sergiusza Jewdoszenki, byłego wychowanka MCHAT-u, mieliśmy już sposobność poznać po zaprezentowanym u nas gościnnie „Wywiadzie z Buenos Aires” („Venceremos”). Nawiasem mówiąc, MCHAT wystawiał sztukę Rachmanowa na 40-lecie Rewolucji Październikowej i „Niespokojna starość” należy do ulubionych sztuk S. Jewdoszenki. Współpraca z doświadczonym reżyserem, wyspecjalizowanym w dramaturgii radzieckiej i w metodzie Stanisławskiego, przyniosła bez wątpienia naszym aktorom niemałe korzyści warsztatowe.

Śmiem twierdzić, że S. I. Jewdoszenko ze swej strony chyba nie ma powodu narzekać na daną do jego dyspozycji obsadę. Czołową rolę „niespokojnego” profesora gra jeden z najlepszych naszych aktorów, wierny lubelskiej scenie Stanisław Olejarnik, tworząc bardzo prawdziwą postać utalentowanego uczonego, nie ustającego w tworzeniu nowych projektów, lecz nie zasklepiającego się w pracy gabinekowej, bo zawsze gotowego skoczyć, że tak powiem, w najbardziej burzliwy nurt życia. Godnie mu partneruje Nina Czarska w roli Marii Lwowny, łączącej ogrom przywiązania do męża z dobroduszną ironią w stosunku do takich jego niewinnych „mankamentów”, jak rozrządzenie czy popędliwość.

Dużo ciepła wydobyl Kazimierz Siedlecki z postaci marynarza Kuprijanowa, który odsiedzi w pace przeprowadzaną z własnej inicjatywy u profesora rewizję, ale nie ma mu tego za złe, będąc z gruntu poczciwy, uczynny (i nawet chętny do poznania tajemnic botaniki!). Nieco mniej może się udali uczniowie profesora: ten ulubiony, Misza Boczarow (Ludwik Paczyński), wydaje mi się trochę na siłę miękki, a Józef Gmyrek nie zdołał pokazać stopniowego wylaniania się z postaci docenta Worobjewa — krótkowzrocznego karierowicza i asekuranta. Świetnie natomiast zaprezentowała się rozruchwalona grupa studencka, zwłaszcza Hanna Pater jako zacietrzewiona studentka „innej orientacji...” i Elżbieta Petrykat — ta bardziej „ludzka” (w scenie z rozrzuconym rękopisem profesora).

Na ogół biorąc, spektakl jest szlachetny i odprężający dzięki, rzecz można, „czystości” swej atmosfery i jej ciepłu. Dekoracja Hanny Volmer trafnie odtwarza nastrój starego, solidnego mieszkania profesorskiego (tylko trochę za dużo w nim drzwi, co powoduje z kolei „niespokojne” snucie się po scenie). Muzyka Adama Kowalczyka dodaje też nastrój spektaklowi, lecz (i tu ostatnia uwaga krytyczna) wolalabym, by się ograniczyła do uvertury przed każdą z dwóch części przedstawienia i krótkiej „cody”.

Nie, nie będę obecnie podsumowywać pracy Teatru im. J. Osterwy, robi się to zazwyczaj przy końcu sezonu, w czerwcu. Mam wrażenie, że czeka nas rok lepszy, bo oto bardzo ceniony u nas reżyser warszawski, Józef Słotwiński, rozpoczął próby „Egzaminu” J. P. Gawlika. Wprawdzie jednocześnie odbywają się próby „Arsena Lupina” (cui bono?), ale zapowiedziano „Emigrantów” Mrożka, podobno „Operetkę” Gombrowicza — no, no!

4 września 1939 r. Naczelny Wódz, marsz. Rydz-Śmigły, podjął decyzję utworzenia armii „Lublin”, mianując jej dowódcą dotychczasowego inspektora armii, gen. dyw. Tadeusza Piskora¹. Była to słuszna, jedna z nielicznych decyzji Naczelnego Wodza podjęta z wyprzedzeniem wydarzeń, a nie jako bezpośrednia reakcja na działania nieprzyjaciela. Zadaniem armii była obrona środkowej Wisły, która w polskim planie obronnym wraz z linią rzek Narwi i Sanu spełniać miała rolę ostatecznej linii obrony, linii, za którą pozostanie już tylko bronić się i czekać na wystąpienie sojuszników. Niestety, plany nie były do końca opracowane, nie zrobiono też nic — poza wybudowaniem kilku mostów — by tę naturalną barierę wodną podnieść do rangi linii obronnej.

Już trzeciego dnia wojny okazało się, że Wisły nie będzie miał kto bronić. Walczące w zachodniej Polsce armie „Kraków”, „Łódź” i „Pomorze”, które po planowym wycofaniu się na wschodni brzeg Wisły miały spełniać rolę obrońców, zostały przez jednostki pancerne i zmotoryzowane nieprzyjaciela nie tylko zmuszone do odwrotu, ale ponadto oskrzydłone, a próżniej wraz z armią „Poznań” i „Prusy” odcięte od przepraw wiślanych.

Powołanie armii „Lublin” z zadaniem obrony środkowej Wisły stało się koniecznością chwili. Ta improwizowana armia nie mogła wypełnić swojego zadania. Przepołowiona 12 września na Wiśle w rejonie Annapola przez niemiecki IV Korpus wycofała się swoją motorową częścią w rejon Tomaszowa Lubelskiego i tam wraz z armią „Kraków” po nieudanych próbach wydostania się z koła kapitulowała 20 września 1939 r.

Poniżej przedstawiamy nieznaną, sporadycznie we fragmencie cytowaną relację gen. Piskora, którą autor spisał 2 czerwca 1945 r. Relacja zatytułowana jest „Przebieg działań armii „Lublin” od 4 IX do 21 IX 1939 r.”

Z uwagi na ogromną szczupłość bazy źródłowej (zaginęła w rejonie Tomaszowa) o armii „Lublin” wszystkie dokumenty mogące rzucić światło na działania tej jednostki są cenne. Zwracamy się również do byłych żołnierzy armii „Lublin”, dysponujących materiałami, o kontakt z redakcją i pomoc w odtworzeniu historii armii. W przypisach i nawiasach kwadratowych znajdują się dodatkowe ważniejsze objaśnienia.

Ryszard Nowosad

Annopolem². Zjawia się ze sztabem gen. Dąb-Biernacki, a następnie i gen. Skwarczyński z dowódcą 12 dywizji; obaj w przebraniu cywilnym. Malują obraz klęski.

Łączność z Nacz. Dow. (Hughesem) [telegraficzny aparat z klawiaturą, zwany juzem] stale rwie się. Przez oficera przychodzi nowy rozkaz, ujmujący położenie w całości (choć przedawnione) i nakazujący mi trzymanie nadal przepraw na Wiśle, gdyż armia Kutno³ jest skierowana przez Łódź—Radom na Wiśle, a więc przeprawy — w Maciejowicach, Dę-

bryg. płk Roweckiego skierowany tam dla wyrzucenia Niemców nie osiąga swego zadania; udało się tylko powstrzymać dalsze posuwanie na tym kierunku. W walkach 13 września stwierdzono tam 3 dyw. lekką, również nieprzyjaciela, a raczej jego silne rozpoznanie, począł napierać na grupę Garwolin, odrzucając ją wreszcie od Wisły w lasy. Inne próby przejścia przez Wiśle odrzucono ogniem. W każdym razie część odwodu 39 dyw. rezerwowej musiała się rozwinąć na Wieprzu frontem na północ.

RELACJA DOWÓDCY ARMII »LUBLIN« Z WALK W 1939 ROKU

Tadeusz Ludwik Piskora

DNIA 4 września w godzinach popołudniowych wezwany zostałem przez Naczelnego Wodza marsz. Rydz-Śmigłego, który mi polecił objąć natychmiast obronę Wisły, od Sandomierza włącznie po Modlin, z siedzibą w Lublinie. „Wszystkie plany mnie zawiodą — powiedział marsz. Śmigły. — Obecnie właśnie mam wiadomości o rozbiciu 8 dywizji [z armii „Modlin”]. Zadaniem Pana Generała będzie w pierwszym rzędzie obsadzenie przepraw na Wiśle i wylapywanie plutonów art. plot. wojskowych i cywilnych spośród masy cofającej się; plutony te należy postawić na Wiśle dla obrony przepraw. Pan General znajduje tam lokalne siły oraz brygadę motorową warszawską płk. Roweckiego, która kończy swą organizację. Sztab niezbędny zorganizuje Pan sam w oparciu o DOK Lublin”.

W godzinach wieczornych udało mi się załatwić skrócenie mego odcinka, gdyż z Lublina było dość trudno dowodzić obroną Warszawy, a tym bardziej Modlina, tak że ostatecznie odcinek sięgał od Sandomierza włącznie (granica bliżej nie oznaczona) po Garwolin włącznie. Bliższych wiadomości o obsadzie nie udało mi się uzyskać.

W nocy 4—5 września wyjechałem trzema samochodami (w tym jedna taksówka warszawska), towarzyszyło mi 3 oficerów mego sztabu, adiutant i przydzielony w ostatniej chwili słuchacz WSWoJ. Resztę oficerów sztabu miał dostarczyć Lublin. Muszę dodać, że w ciągu lata zostali mi zabrani z mego sztabu oficerowie łączności i inni oficerowie dla sformowania dowództwa na zachodzie. Zatem sztab armii, jednostki wojska i tyły — wszystko to należało zorganizować, a właściwie zaimprowizować z rozmaitych resztek mobilizacyjnych i to w obliczu nieprzyjaciela, który rozpoczął gwałtowne działania.

O świcie przybyłem do Garwolina. Panował tam rozgardiasz; oddziały kawalerii, mało koni i broni, wszystko w trakcie mobilizacji. Dalem rozkaz do wysunięcia na most na Wiśle przynajmniej 1—2 szwadronów, do patrolowania przedpola, nawiązania ze mną łączności w Lublinie i wreszcie do przyspieszenia prac mobilizacyjnych.

W rannych godzinach przyjechałem do Kurowa, m.p. brygady płk. Roweckiego. Oprócz jego oddziałów podlegały mu trzy baony (jeden 3 dyw., dwa rezerwowe) na przeprawach w Dęblinie, Puławach i Solcu; wreszcie w Annopolu stał OR [rozpoznawczy] brygady i drobne elementy plechoty. Potwierdziłem zarządzenia płk. Roweckiego, które były dobre. Ze względu na szczupłość sił przestrzeń między przeprawami nie była wcale trzymana. Nakazałem patrolowanie przedpola na zach. brzegu Wisły, wysyłanie patroli między przeprawami i zwrócenie uwagi specjalnej na swe ptn. skrzydło. O nieprzy-

jacieli nie konkretnego nie wiedziałem.

Z grupą Sandomierz [d-ca ppłk Antoni Sikorski] nie miałem połączenia. Wysłałem tam motocyklem oficera z instrukcjami, a zarazem, by się dowiedzieć, co znajduje się na ptn. skrzydło odcinka, dokąd on sięga, no i co się tam dzieje?

6—7—8 września zajęty byłem organizowaniem dozoru przepraw na Wiśle, bo tylko o tym najwyżej mogła być mowa, kompletowaniem sztabu, nawiązywaniem łączności drutowej (radia nie miałem) stale niszczonej, oraz konferencjami z wicewojewódzą [Tadeuszem Chmielewskim] i generałem Smorawińskim [d-ca OK Lublin], który z siebie wychodził, by zaradzić walącym się na lew wypadkom. Odbiwał się masowy ruch ludności z zachodu na wschód, drogi były zatrasowane, pełno było uciekinierów, nieprzyjaciel bombardował węzły, stacje, centralną składnicę uzbrojenia i amunicji w Rykach [faktycznie w Stawach k. Dęblina], szosę Warszawa — Lublin, ludność z broni pokładowej, przeprawy w Puławach i Dęblinie głównie, wreszcie m. Lublin. Dla utrzymania łączności przeważnie polegać można było na samochodzie, co było bardzo powolnym środkiem wobec zawalenia wszystkich dróg.

Wiadomości z przedpola nadchodziły coraz bardziej niepokojące o siłach pancernych, które zbliżały się coraz bardziej ku Wiśle.

W tym czasie — zdaje się 8 września — Nacz. Dowództwo godzi się na moją propozycję i wydało rozkaz, że wszystkie jednostki bedące w transportach na wschód od Wisły zostają mi podporządkowane⁴. Okazało się, że były to przeważnie tylowe jednostki, z wyjątkiem kilku rezerwowych (3 i 9 dywizji) baonów i sześciu dywizjonów artylerii. W każdym razie pozwoliło mi to na dokompletowanie 39 dyw. rezerwowej, którą oddałem pod rozkazy gen. Olbrycha. W czasie 12—13 września dwizja ta była uformowana (z wyjątkiem tyłów) i zajmowała rejon Dęblin—Puławy, trzymając gros baonów w odwodzie na południe od Wieprza.

Brygada płk. Roweckiego również wykańca swą organizację, tylko jej tabory przedstawiają mieszaninę rozmaitych typów samochodów. Grupa Garwolin [tzn. odcinek płka Tadeusza Komorowskiego] osiągnęła stan 4—5 szwadronów a grupa Sandomierz po wchłonięciu rozmaitych marszówek i formacji zapasowych miała ok. 3000 ludzi, natomiast prawie wcale artylerii.

8—9—10 [września] sytuacja zaczyna wyglądać poważnie; oddziały pancerne nieprzyjaciela dochodzą raz po raz do Wisły, próbują zająć przeprawy i po ostrzelaniu ich odchodzą. Bombardowanie trwa nadal, objęte są nim przeprawy na Wiśle. Na przeprawach pojawiają się rozbitki armii rezerwowej i grupy gen. Skwarczyńskiego w stanie zupełnego rozprzeżenia, przeważnie bez broni. Jedyny zwarty oddział — to części 8 pułku ulanów, który przeprawił się pod

blinie i Puławach będą dla niej niezbędne. By dojsć do tych przepraw, armia musi się przebić poprzez nieprzyjaciela i jego jednostki pancerne; całą drogę musi odbywać pieszo wobec zmotoryzowanych jednostek przeciwnika. Rozkaz Nacz. Dow., choć za wierał myśl śmiałą i ładnie był ujęty, wywołał we mnie wrażenie przykre, bo nie liczył się z rzeczywistością na polu walki. Przebić się przez nieprzyjaciela, dysponującego lotnictwem b. silnym i bronią pancerną na podstawie tygodniowego doświadczenia wydawało się całkiem niemożliwe, zwłaszcza gdy się zważy głębokość tego przebijania. Wydawanie rozkazów mnie, jako dowódcy armii, gdy właściwie „armii” nie posiadałem, rozkaz trzymania przepraw, na co sił zupełnie nie wystarczało, o czym Nacz. Dow. musiało wiedzieć, oraz wiadomość o skierowaniu ptn. części armii „Kraków” (gen. Szyllinga) na moje ptn. skrzydło — były dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

Ponieważ w tym czasie wzięto papiery przy zabitym podoficerze niemieckim, który miał złecone zbadać przeprawy pod Annopolem, oraz gotowość 39 dyw. rezerwowej była na ukończeniu, postanowiłem ściągnąć całą bryg. płk. Roweckiego bardziej ku południowi — na Solec i Annopol. W ten sposób ugrupowanie moje, realizowane do dnia 12 września wyglądało następująco:

- grupa Garwolin 4—5 szwadronów,
- 39 dyw. rez. na odcinku Dęblin wł. — Puławy wł., z tym że gros dywizji stało w odwodzie na pld. Wieprza,
- bryg. mot. płk. Roweckiego skierowana na Solec—Annopol, jej gros w odwodzie bliżej Annopola, i wreszcie,
- grupa Sandomierz — bez zmiany.

To były siły, jakimi dysponowałem dla obrony Wisły!

Sporadycznie wysyłane aparaty lotnicze] przedstawiły mi sytuację na Bugu, który został sforsowany; do wództwo nad wojskami frontu północnego objął w międzyczasie Gen. Dąb-Biernacki. Wiadomości o armii „Kraków” otrzymałem bezpośrednio od gen. Szyllinga, który przejeżdżał przez Lublin [11 września wieczorem] do nowego m.p. w Zamościu. Tak więc lada chwila mogłem oczekiwać poważnego uderzenia przez Wiśle, prócz tego położenie na północy wydawało mi się dość niepokojące [...]

11—12—13 września zostały stopniowo wysadzone lub spalone mosty na Wiśle, aby utrudnić nieprzyjacielowi przejście na wschodni brzeg. Mi mo to już 11 września wieczorem meldowane są pod Annopolem jakieś elementy nieprzyjacielskie. Odwód

W zamierzonej akcji na broń pancerną niemiecką w trójkącie Kaluszyn — Łuków — Garwolin, na którą gen. Dąb-Biernacki prosił o uderzenie od południa siłą 1-2 baonów piech. i baonem czołgów (?), 39 dyw. rez. nie wzięła udziału ze względu na odległość do pokonania, no i brak czołgów. W dodatku położenie na własnym przedpolu i na skrzydłach kazało mi się liczyć z zaangażowaniem i tak słabych sił. Tylko grupa Garwolin automatycznie wchłonięta została w walki frontu północnego.

14 września nieprzyjaciel jest energiczniejszy na całym froncie. Rozeszły się pogłoski, że sztab Gen. Szyllinga wzięty został pod Zamościem do niewoli. Wieczorem tego dnia uzyskano połączenie juzowe z Nacz. Dow. Nadano nam rozkaz, podporządkowując mi armię „Kraków” (gen. Szyllinga) z zastrzeżeniem co do grupy gen. Spiechowicza otrzymującego jakoby rozkazy od gen. Sosnkowskiego. Tegoż wieczora przeprowadziłem ostatnią rozmowę z marsz. Śmigłym, jednak niekompletną z powodu przemęczenia; zdążyłem jedynie zameldować mu moją sytuację. W ślad za tym — już o północy — dostałem w drodze juzowej rozkaz, który był dla mnie uderzeniem pałką w łeb, przekreślał wszelkie nadzieje i nosił cechy likwidujące wojnę.

Rozkaz ten polecał mi odejść z przeprawy Tomaszów na wschód od Lwowa i podporządkowywał mi armię gen. Szyllinga. Na północno-wschód ode mnie wycofywać się miał front północny gen. Dęba-Biernackiego.

Wobec tego postanowiłem podzielić siły armii na dwie części: część północną — jako zbytnio oddaloną od południowego skrzydła armii — odstąpiłem frontowi północnemu. A więc 39 dyw. rez. stojąca na Wiśle i Wieprzu przechodziła pod inne rozkazy. Wysłałem odpowiedni rozkaz do jej dowódcy i do gen. Dęba-Biernackiego; część południową — brygadę płk. Roweckiego i grupę Sandomierz — jako znajdującą się na linii odwrotu, postanowiłem dołączyć do armii gen. Szyllinga.

Sam w rannych godzinach 15 września udałem się do Kraśnika, gdzie znajdowała się brygada płk. Roweckiego, by stamtąd udać się do oddziałów armii „Kraków”, które na drodze Frampol—Tomaszów musiałem gdzieś przystąpić. Na kierunku Lublin pozostawała luka bez wojska, dostępna dla nieprzyjaciela. Wysłałem na ich spotkanie oficera z rozkazem awizującym zmianę kierunku ruchu⁵.

Dawał się odczuwać kompletny brak map. W dowództwie moim dysponowaliśmy jedynie mapą 1:500 000, oraz kilkoma wycinkami w innej skali. Wobec tego starałem się wszel-

klimi dostępnymi środkami o mapy terenu działań. Zwracałem się drogą radiową do Lwowa, ale bezskutecznie, zapewne moje szyfry różniły się i były nie od odczytania.

16 września [pomyłka, faktycznie 15 września] w okolicy Frampola nawiązałem łączność z grupą Sadowskiego (23 i 55 rez. dywizje). Grupa gen. Spiechowicza znajdowała się bardziej na południo-wschód. Obydwie grupy cofały się walcząc z posuwającym się nieprzyjacielem. Rejon, przez który należało się cofać był mocno zalesiony i na ogół z bardzo złymi drogami. Gdy 17 września [faktycznie 16 września] rano spotkałem się z gen. Szyllingiem pod miejscowością Aleksandrówka [winno być Aleksandrów], a więc wiadomość o dostaniu się jego do niewoli była pozbawiona całkowicie prawdy, ustaliliśmy, że obejmuję dowództwo nad jego armią. 21 dyw. piechoty, walcząca daleko na południu samodzielnie, uległa dnia poprzedniego zniszczeniu przez otoczenie. Pozostałe siły grupy gen. Spiechowicza (6 dyw. piechoty i grupę fortelną) skierowałem na kierunek Narola z zadaniem krycia armii od zachodu. Grupa gen. Sadowskiego (23 i 55 d.p.) miała wyteżonymi marszami przejść na wschodnie skrzydło armii i tam razem z bryg. Roweckiego uderzyć na Tomaszów. Brygada kaw.



1939. Gdzieś w Polsce

Fot. Archiwum

„Kraków” miała kryć armię od wschodu.

Od udania się w czasie tych przemian zależał wynik operacji. Dodać muszę, że stany oddziałów były bardzo małe. Przeciwnie to był już trzeci tydzień bojów i marszów, ostatkiem sił oddziały już gonily. Bryg. kaw. była tylko w składzie dwupułkowym, bo 8 p. ul. odbił się od niej. 21 dyw. p. została rozbita. Grupa Sandomierz stopniała w odwrocie do niespełna 1000 ludzi, dość demoralizowanych odwrotem. Najlepiej przedstawiały się oddziały 23 dyw. p.; np. 2 p.p. liczył jeszcze 1100 ludzi ale wszyscy już byli u kresu sił.

Z tymi siłami należało się przebić ku Rumunii. (...) Siły niemieckie — VIII Korpus (rozkaz znaleziony przy zabitym oficerze) — wtłaczał się między moją armią a ugrupowaniem lwowskim. Zarazem jakieś pancerne oddziały panowały nad szosą Zamość—Tomaszów—Lwów. Wreszcie przez Annopol i Solec przeprowadził się nieprzyjaciel i posuwał się w ślad za moimi oddziałami. W tej sytuacji zebranie mocno nadwreżonych oddziałów armii w kulak i przebiecie się jak najprędzej na pd.-wschód w celu połączenia się z gen. Sosnkowskim było jedynym rozwiązaniem. O froncie północnym żadnych wiadomości nie miałem.

Ruch grupy gen. Sadowskiego odczuł na skutek zmęczenia i dróg niebywale piaszczystych. Uderzenie na Tomaszów—Narol, planowane przeze mnie na noc 18/19 września odczuł się. Jedynie oddziały brygady kaw. gen. Piaseckiego (brygada kaw. Kraków) i brygady płk. Roweckiego wyszły na front Tomaszowa i uwikłały się tam w krwawe boje.

Gdy wobec tego spóźnione o jeden dzień oddziały skierowałem do natarcia na noc 19/20 września (rozkaz wydany w Krasnobrodzie, uzupełnio-

ny w Zielonej dnia 19 września), było już za późno. Nieprzyjaciel doprowadził znaczne siły w rejon Tomaszowa, ponadto nowy korpus nieprzyjaciela wychodził od pd.-zachodu. Natarcie odbyło się w następującym ugrupowaniu:

a) od wschodu operowała bryg. gen. Piaseckiego, starając się przekroczyć szosę Zamość—Tomaszów.

b) na Tomaszów skierowana była bryg. płk. Roweckiego (dla zrobienia przerwy) i 23 dyw. p. W lewo od niej 55 rez. dyw. p. Obie pod rozkazami gen. Sadowskiego.

c) wreszcie grupa gen. Spiechowicza — 6 dyw. p. i grupa fortelna miała atakować na froncie Bełzec — Narol.

Pozostawałem przy 2 pp przez całą noc natarcia, tj. 19/20 września na głównym kierunku ruchu — na Tomaszów. Dwukrotnie podejmowano próbę przebiecia się i zawsze natrafiano na bardzo silny ogień. Wreszcie gdy się rozwidliło, pozostały tylko szczątki z przebijających się oddziałów oraz artyleria wystrzelująca resztę swej amunicji. Reszta rozpełzła się. Oddziały gen. Spiechowicza natrafiły na słabszy opór i częściowo się przebiły, ale wkrótce zostały otoczone przez przybywające oddziały niemieckie.

Tak więc rano 20 września pozostałem bez oddziałów zdolnych do walki i z nieprzyjacielem na karku.

W godzinach popołudniowych poddałem się.

Piskor General

Wieczorem 20 września komunikat Niemieckiego Naczelnego Dowództwa informował: „Po zaciętych walkach dziś po południu niemiecka 14 armia zakończyła zwycięsko trwającą od trzech dni bitwę o Tomaszów. Otoczone dywizje polskie 6, 23, 55, część 21, Warszawska Bryg. Panc. Mot., Krakowska BK złożyły broń. Liczba jeńców, wśród których znajdują się dowódcy armii Piskor i dowódca DOK V, daleko przekracza 20 000. Zdobyczy nie udało się dotychczas przeliczyć”.

PRZYPISY

¹ Tadeusz Ludwik Piskor ur. 1 II 1889 r. w Borze k. Ostrowca Świętokrzyskiego, zm. w marcu 1931 r. w Londynie. Przed pierwszą wojną światową był założycielem Związku Walki Czynnej w Belgii; w czasie wojny był dowódcą kompanii w Legionach Polskich. W okresie międzywojennym ukończył specjalne studia wojskowe we Francji i zajmował szereg stanowisk w wojsku m. in. w 1926—1931 r. był Szefem Sztabu Głównego, następnie Inspektorem armii. Po kapitulacji armii „Lublin” w 1939 r. przebywał w niewoli niemieckiej, a od 1945 r. na emigracji.

² W związku z decyzją NW z dn. 6 IX o natchmiasowym odwrocie na wschód armii walczących w toku Włsy wszystkie transporty wojsk zmierzające na zachód oddane zostały do dyspozycji generała Piskora.

³ 8 p. ul. — bez 4 szwadronu z armii „Kraków” oderwał się 3 września w rej. Szekocin od Krakowskiej Bryg. Kaw. i kierując się na północny wschód po przekroczeniu Włsy w rej. Krańnika podporządkowany został płk. Roweckiemu.

⁴ Armia gen. Kutrzeby II IX otrzymała rozkaz przebijania się na Radom—Krańnik, natomiast armia „Lublin” miała bronić Włsy i Wieprza do chwili przebiecia się tych wojsk, po czym razem odechł się na Tomaszów Lubelski.

⁵ Informacja dotyczy 1 pułku strzelców pieszych z Warszawskiej Brygady Panc. Mot., który z rejonu Chodła 14 IX rano zawrócony został do osłony Lublina w rej. Konopniew. Pułk przebywał tam do zmkru bez kontaktu z nieprzyjacielem, po czym ruszył na Krańnik dołączając do brygady.

Drugi dom

Tadeusz Jasiński

KTO z nas nie stoi przed podobnymi dylematami? Kto, jeśli nawet jest jeszcze stosunkowo młody, nie pomyśli od czasu do czasu o własnej starości? I nie postawi sobie pytania: jaka ona będzie, jak ją sobie przysposobił? Istnieje już ciekawe rozwiązanie, próżno ich jednak szukać w stolicy makroregionu, można je znaleźć jednak w Puławach.

Moji puławscy rozmówcy szukali dla siebie innych rozwiązań, zwykłych, myśleli, się starzeć przy dzieciach, życie nakłoniło ich do zasadniczych rozróżnień. Powstały w Puławach pierwszy w makroregionie Spółdzielczy Dom Rencistów i Emerytów miał więcej chętnych niż mógł ich pomieścić, mimo że wkład członkowski oraz czynsz kształtują się w takich samych wysokościach, jak dla pozostałych spółdzielców. Stary człowiek na mieszkanie 10 lat czekać nie chce i nie może. Różne są teorie i spekulacje na temat: lepiej jest ludziom w podeszłym wieku mieszkać razem w jednym dużym budynku, czy wtedy, gdy zajmują mieszkania w rozproszeniu wśród młodych małżeństw w całym ośrodku? Zapewne, to ostatnie byłoby naturalniejsze, jednak pierwsze rozwiązanie daje możliwość pełniejszej i lepszej opieki lekarskiej, ułatwia organizację czasu wolnego etc.

Puławski Spółdzielni Mieszkaniowa tym właśnie się kierowała podejmując przed czterema laty decyzję o budowie oddzielnego domu „Senior” z 40 dwupokojowymi mieszkaniami (każde oczywiście — z kuchnią oraz łazienką), a także z pomieszczeniami na stołówkę, gabinet medyczny, mieszkanie dla lekarza, świetlicę, izby do prowadzenia robot ręcznych oraz do wycieczek. Właśnie w tych parterowych pomieszczeniach partner spółdzielni — puławski Zespół Opieki Zdrowotnej urządził oddzielną instytucję pod nazwą: Dom Dniennego Pobytu. Jest to wspólne osiągnięcie ludzi z różnych placówek, którzy potrafili interpretować surowe przepisy zgodnie ze społecznymi potrzebami.

Wicedyrektor ZOZ, mgr Andrzej Wodzinowski, widzi to rozwiązanie w kontekście szerszych potrzeb Puław. W mieście tym istnieją cztery kluby „Seniora”. Ich członkowie zbierają się, jak i gdzie indziej, raz w tygodniu, z wyjątkiem tego, który działa przy Miejskim Domu Kultury. Jest on czynny codziennie i to przez cały dzień, chociaż nie ma w nim wyżywienia. Tak się składa, że należą do niego przede wszystkim byli pracownicy umysłowi. W środy, pod batutą swego kolegi Romana Zadury, zbiera się na próby chór, w czwartki przychodzi niemal wszyscy, bo taka była tam od dawna tradycja. Inaczej jest w Domu Dniennego Pobytu przy ulicy Wiejskiej, tam schodzi się już o 8-mej około 40 członków i wraca dopiero w porze przedwieczornej, ale — jeżeli chcą — mogą tam przebywać do 18-tej. Średnia onlata wynosi 400 złotych, najniższa 70, najwyższa ponad 700, ale to rzadko, w zależności od wysokości emerytury. W puławskiej inicjatywie dyrektor widzi początek polskiej drogi do rozwiązywania problemów ludzi trzeciego wieku. Istnienie Domu Dniennego Pobytu stworzyło już dobry klimat społeczny, wielu z tych, którzy zbliżają się do emerytury, widzi dla siebie możliwość, której dotąd nie było.

A oni sami, oni — zainteresowani co myślą o tym, co dzięki istnieniu tego domu jest ich udziałem? Małgorzata i Jan Dzieduchowiczowie do Puław przywędrowali spod Hrubieszowa. Najpierw za dość wysoką sumę zakupili domek, bo na gospodarstwie nie podobałoby już dłużej pracować, a chętnych spadkobierców nie mieli. Córka Zofia zginęła w partyzantce, pozostałe dzieci urządziły się w inny sposób. Dzieduchowiczowie pragnęli być nadal samodzielni, chcieli pewnych wyśód no i opieki. Wpłacili udział do spółdzielni, doczekali wybudowania „Seniora”, sprzedali domek i teraz są lokatorami wspólnego domu, ale równocześnie schodzą „na dół”, donosili się do tych, co dochodzą tam z miasta. Jest z kim pomówić, nie trzeba stawać w kolejkach, śniadanie, obiady i kolacja na nich czekają. Jest kolorowy telewi-

zor, dobra muzyka z radia lub magnetofonu, zdarzają się odczyty i spotkania z pisarzami. Lekarz mieszka na miejscu, kiedy zajdzie potrzeba może odwiedzić w mieszkaniu, może przyjść pielęgniarka. Podobnie na ten temat mówi mi pani Bernatowa. Marianna i Stanisław Frymusowie mieszkali blisko, na Kollątą, ale wygod tam nie było. Tu nic nie jest podobne do zwykłego domu opieki społecznej, tu nikt nie czuje się na lasce, każdy ma samodzielność jak w bloku, bo za swoje pieniądze stał się członkiem spółdzielni i opłaca czynsz, ale równocześnie ma to wszystko, co stary człowiek powinien mieć. A pozostali ze wspomnianej czterdziestki? Czy Dom Dniennego Pobytu jest według nich dobrym rozwiązaniem?

Antonina i Józef Nowiccy mieszkają z rodziną syna, ale są wnuki, jest za ciasno, w dodatku tęskno do ludzi w swoim wieku. — Jest nam tu różnie, przychodzimy, jak do rodzinnego domu i przebywamy do późnego popołudnia. Nieraz do wieczora. Gdyby spółdzielnia znalazła pieniądze na instruktora społeczno-kulturalnego, wtedy można by wracać jeszcze później, korzystać wieczorem z kolorowej telewizji i innych urządzeń. Wstaje o 7-mej i wołam na żonę, żeby przyspieszyła, wołam: matka, matka, idziemy! No i tam czeka na nas mleczna zupa, śniadanie już czeka. — Jednym słowem — dodaje pani Nowicka — to nasz drugi dom rodzinny. Myśmy tu odżyli.

Inna kobieta nazwiska nie podaje, ale powiada, że był raz taki dzień, kiedy miała już skoczyć z dziesiątego piętra, bo z córką o coś poszło. — Na schodach tylko potem przykucałam, bo odwagi nie starczyło, przykucałam sobie i popłakałam, ludzie zobaczyli, jak to mi się żyje i ujęli się za mną. Teraz „opieka” dała mnie tutaj i cały dzień jestem między ludźmi, i nikt mi tu nie powie złego słowa. Ciepło mi jest, nakarmiona jestem, a siostra i doktor interesują się moim zdrowiem, pomagają, żeby zdrowie znowu przyszło. Już teraz mówimy, jak sobie tu razem urządzimy, jak zbierzemy się przy choince, coś upieczemy, no, tu człowiek odczuje, że są święta.

Inna kobieta: — Po śmierci męża, to bardzo przeżywałam — bo dobrego miałam męża — i miejsca znaleźć sobie nie mogłam, dopiero, jak mi podpowiedzieli sąsiedzi, żebym się starała o ten dzienny pobyt przy Wiejskiej, to znalazłam swój drugi dom i jest mi już inaczej wśród ludzi.

— Mnie z domu coś wygania — zwierza się Maria Nowakowa ze Skawieczyskiej. — Pokój jest zimny bardzo, piec zepsuty. Przychodziła siostra PCK, ale to nie to samo. Tutaj jest ciepło mam dobre jedzenie, towarzystwo ludzi serdecznych, a jak do domu przyjdę i ciemno się robi, smutno mi jest. Nie tam mnie nie czeka, tylko sobie popłaczę i czekam ranka, żeby tu znowu przyjechać i być razem z innymi.

Helena Sikora z Krańcowej mówi o sobie i koleżance Helenie Czapiń, z którą mieszka: — Nas to tak ratuje ten dom, jak nic lepiej by nie mogło, dobrzy ludzie tu są, i pani kierowniczka rozumie, co nam potrzebne. — Tak, pani Sawincew, chociaż jest młodym człowiekiem — wstrąca się Władysław Ryt — prowadził wyśódka po naszej myśli i potrzebie, ona nas się radzi, ona nas rozumie. Dla nas — dla mnie i dla żony — tutaj jakby nowe życie się zaczęło, zbawienie to dla nas, albo i coś więcej, przedłużenie zdrowia. Byłem delikatny na żołądek. Chodziliśmy do jadłodajni „Marynka”, ale nie służyło, tam się bardzo pogorszyło i chociaż dietetyczne jedzenie, no, nie służyło, a tutaj jest dobre, jakoś każdy wydobrzył i my też. Przywożą ze szpitala obiady i są dobre. Tu ja pierwszy raz po 20 latach chyba znowu zatańczył, bo bawimy się razem i sobie opowiadamy, co kto przeżył, co w życiu dobrego zrobił. No, człowiek tu odżył i ja, i moja żona, nam tu jest dobrze i miło.

Dokończenie na str. 10

Nieśmiertelność śmierci nieśmiertelność życia

O STATECZNE sprawy człowieka. Czy mamy coś takiego w dzielejszej prozie? Mamy układanki stylistycznych oryginalności, kochał pikantnych scen ufrizowanych na elementy obyczaju. Albo pustotę udającą prozator. Nie chwytające i nie sfinksose. A krytyka upiększa to błyskotkami sformułowań w rodzaju „eksploatacja środowiskowego mitu”, „interesująca osmoza planów chronologicznych”, „szadziwiająca konsekwencja centralnej obsesji”. Szczególnie żywoty jest ten „mit”. Prędzej wyginą szczyry. Kto zaczął czytać prasę literackiej w okresie międzywojennym ma przed oczami to słówko jeszcze z tamych lat. Kariera, od której nie wiadomo, czy będą wolne nasze prawniki.

W tych warunkach aktem literackiej odwagi jest napisanie powieści — nie tekst uzupełniający brak myśli brakiem sytuacyjnych motywacji i kompozycyjnej klarowności. Tak więc Tadeusz Chrościelewski napisawszy „Dzbanek życia” naraził się krytyce, która każdą normalność przedstawia jako niedociągnięcie, naiwność, anachronizm. W obronie pisarstwa, które nie może istnieć inaczej niż udając.

Powyzsze nie jest bynajmniej chwytem polemicznym. By podkreślić zalety prozy Chrościelewskiego, nie potrzeba zestawiać ich z wadami ultranowoczesności. Należy jednak zauważyć dobry kompas autora, który nie obawia się oskarżeń o tradycjonalizm, nie wykorzystuje aktualnych (ostatnio już trochę zanikających) preferencji dla form „eksperymentalnych”.

Bo Chrościelewski chce coś powiedzieć. Nie — wystąpić na literackiej estradzie, gdzie jak na estradzie piosenkarskiej liczą się przede wszystkim wygiby, miny do publiczności, „interesujące sposoby podania”, „Siła przebiecia”. A chce powiedzieć rzecz trudną, bo rzecz o śmierci. O paradoksie! Ta najważniejsza sprawa w życiu każdego z nas jest równocześnie największym banałem. Bo coż powiesz, pisarzu? Ze nie bójmy się śmierci, bo kiedy my jesteśmy, śmierci nie ma, a kiedy śmierć jest, nie ma nas? To już Epikur. Ze każdy umiera w samotności? Też tam ktoś, zresztą nie ważne kto, tak pewnie i oczywiście. Więc co istotnego można powiedzieć o śmierci? Hm. A zatem nie mówić wcale? O tej najważniejszej sprawie człowieka?

Niby jest. Zagrać na „a jednak”. Ze niby jednostka ludzka przemija, ale zostawia po sobie potomstwo, poza tym odwieczna reinkarnacja form, wieczne wiosny, wieczne jesienie. Nieśmiertelność życia jak nieśmiertelność śmierci. Przyznajmy, że ten sposób postawienia sprawy ma jakąś perspektywę poetycką,

pod niektórymi piórami (powiedzmy — Leśmian) nawet kolosalną, ale w dalszym ciągu filozoficznie — a przede wszystkim konsolacyjnie o ten głównie chodzi — pożytek jest mierny. Bo trudna i darmo. Jeśli pisarz mówi o śmierci, to go czytelnik łapie za polity: „Masz receptę na umieranie? Daj”. No i recepty nie ma. Więc rzecz pali na panewce, a zapisuje się to na konto autora po stronie „winien”. Czyli Chrościelewski zdobył się na dwie odwagi. Drugą jest próba rozwiązania dylematu nierozwiązalnego. Powtórzmy: podjął niebezpieczeństwo polegające nie na powtórzeniu formułek, ale na niewygodnym lekcji, kiedy lekcja jest oczekiwana. Tylko: Chrościelewski wie, że to niebezpieczeństwo podjąć musiał.

Nie znaczy to, że powieść jest tylko studium o śmierci. Jest — o dojrzewaniu do niej. A także o narastaniu nowych form życia (przecież „życie” jest w tytule). Można tu zaakceptować trafną alegorię winiety: fotel na biegunach, czyli sprzęt dla staruszków, a obok niego rozkwitający oleander. Rozkwitający. Tylko to narastanie nowych form jest widziane z dystansu, ze stanowiska trudnych doświadczeń i przeświadczeń, bez biologicznej euforii. Można powiedzieć, że nie jest to powieść o bohaterach. Postaci się nie liczą. Jest to powieść o stanach świadomości reagującej na przedmiotowy, „pozałudzki” bieg zdarzeń. Zyczliwości, optymizmu, nadziei w powieściowej materii jest sporo. I — nie są one w stanie wpłynąć na rozwój wypadków. Wszystko, na co można się zdobyć to spostrzec. Znowu niech przemówi przykład winiety: oko jako element graficznej kompozycji. Ale z podsumowania tych wszystkich składników nie wynika bierność. To znaczy wynika, ale jakaś „bierność czynna” dojrzała reakcja świadomości wiedzącej o prawach. Co możemy ocalić? Słuszność naszego miejsca w życiu, to znaczy w przemijaniu. Wcale nie mało.

Język „Dzbanek życia”, jego urok to adekwatność. Zadnych wysień na ornament. Ale miejscami ten język — właśnie dlatego, że tak pewny swej komunikatywności — nabiera niezwyklego wigoru: jak gdyby przeskakuje prawdą stylistyki i składni niosąc myśl wprost, na zasadzie porozumienia z czytelnikami. I prawidła nie wnoszą pretensji. Chciałoby się powiedzieć: oryginalność naturalna. Jako praktyczna funkcja, nie aprioryczny postulat. I to jest chyba elementem nowoczesności bez pozycji i pozorantwa.

Zygmunt Mikulski

Tadeusz Chrościelewski: „Dzbanek życia”. Wydawnictwo Łódzkie, 1977, str. 149, cena 15 zł.

W JESIENNEJ, listopadowej szarudze, pomimo przejmującego chłodu poeci z całej Polski ścignęli na trzy dni do Świdwina. W tym niewielkim, sympatycznym miasteczku o dużych ambicjach kulturalnych, po raz ósmy rozstrzygnięty został konkurs poetycki im. Jana Spiewaka. To właśnie tutaj w 1967 r. miał się spotkać Spiewak z czytelnikami. Do spotkania jednak nie doszło, śmierć zaskoczyła go na trzy dni przed świętami Bożego Narodzenia. Świdwin postanowił uczcić pamięć poety organizując konkurs jego imienia.

Miejska Biblioteka Publiczna w 10 rocznicę śmierci Jana Spiewaka zorganizowała wystawę książek, rękopisów i unikalnych zdjęć poety. Tam też można było zapoznać się z powiększającym się każdego roku do robkiem artystycznym dotychczasowych laureatów.

zapraszanie laureatów „Złotego Klucza” na kolejne finały. Nie więc dziwnego, laureatów konkursu w Świdwiniu znają nie tylko jurorzy i organizatorzy, ale szatniarki i bardzo rozmowna babcia kłozetowa. Impreza wrosła już w kulturalny krwiożąd miasta. Tak było i w tym roku.

Poeci zaś ostro dyskutowali. Wiczcór pt. „Wymiana doświadczeń młodych poetów”, prowadzony przez Krzysztofa Zuchorę, przemienił się w spór o zasadności istnienia Klubu Młodych, Korespondencyjnych Klubów Młodych Pisarzy i innych stowarzyszeń i klubów literackich. Zgodnie z tradycją kregów młodoliterackich, do rozstrzygnięcia wniosków nie doszło.

Podobnie było ostatniego dnia, kiedy to po referatach Andrzeja K. Waśkiewicza i Janusza Kryszaka rozprawiano się z młodą poezją i „nową falą”. Trudno byłoby streścić cho-

ŚWIDWIN PO RAZ ÓSMY

Jerzy K. Misiec

Tegorocznej imprezie finałowej przewodziła poezja patronką konkursu. Dwukrotnie recytatorzy ze świdwińskiego liceum i z WDK przedstawili montaż tekstów Spiewaka, a m. in. Zbigniew Bieńkowski, Michał Sprusiński, Jerzy L. Ordon, Stanisław Misakowski i żona poety, Anna Kamińska, podzielił się wspomnieniami.

Trzeba przyznać, że Świdwin wybronił się po raz ósmy. W powodzi konkursów literackich jako każdego roku nawiedza nasz kraj, konkurs świdwiński zdobył sobie znaczną rangę i dorobił się dobrej tradycji. Wśród efemerycznych konkursów, które są bardziej imprezami charytatywno-monopolowymi niż literackimi, Świdwin jest w tej chwili chlubnym wyjątkiem. I choć często teksty nagradzane nie są równie znakomite co jury (w tym roku podobnie jak w poprzednim: A. Kamińska, M. Sprusiński, Z. Bieńkowski, M. Grześczak, S. Misakowski) to ambicja kulturalna Świdwina sprawiają, że jest to impreza naprawdę literacka.

Osobiście byłem na finale pewnego konkursu poezji społecznie zaangażowanej, gdzie publiczności nie przedstawiono nawet nagrodzonych tekstów. Pięknym zwyczajem w Świdwiniu jest natomiast nie tylko przedstawianie utworów publiczności ale i

ciaż niektóre wystąpienia. Jeden zasadniczy wniosek: grupa młodych, wstępujących w życie literackie i tych, którzy już w tym życiu zadołowili się od paru ładnych lat, czuje, już z pewnego dystansu, potrzebę ustosunkowania się do propozycji, światopoglądu i osiągnięć „nowofalowców”. Zdrowy to objaw, świadczący o dojrzałości artystycznej.

Na zakończenie wypadła odnotować wyniki konkursu. Zdobywcą „Złotego Klucza” został Jerzy Gawroński z Warszawy. Trzy wyróżnienia pierwszego stopnia otrzymali Marek Grala (Płock), Daniel Liskowacki (Szczecin) i Kazimierz Smalcuga (Tomaszów Lubelski). Wśród sześciu wyróżnień drugiego stopnia znalazły się również teksty Henryka Makarskiego z Lublina.

Kazimierz Smalcuga jest jeszcze przed debiutem, jeśli nie liczyć fragmentu drukowanego (w „Pocztce Literackiej”) w „Nowym Wyrazie” — miesięczniku literackim młodych, za który to wiersz otrzymał nagrodę w Świdwiniu. No, coż — komentarz z wiersza Jana Spiewaka:

*Młodość nie kończy się nigdy, ona kielkuje wciąż głębiej.
Dziwi się sobie, że rośnie, ginie razem z człowiekiem
W zdziwieniu świat się poszerza.
A kiedy rodzi się poezja?*

Drugi dom

Dokończenie ze str. 9

Z Krystyną Sawincew — kierowniczką Domu Dziennego Pobytu, odwiedzamy kilka mieszkań, jak tu zwykle się mówi — „u góry”. Są rodzinne: 2 pokoje, kuchnia, przedpokój, łazienka. Najczęściej jest w nich schludnie, w niektórych nawet zamieszkałe. Zależy, jakie kto ma oszczędności, jak wysoka emerytura. Sporo spółdzielców-rencistów zmieniło tylko adres, posiada nadal powiązania z miastem, rodziną i znajomymi, niezwykle rzadko z zakładem pracy. Zaproszenie rad zakładowych sprowadza ich czasami za próg portierni, ale im bardziej oddala się data przejścia na rentę lub emeryturę, tym rzadsze są owe gesty. Wielu więc zaaklepiło się w tych mieszkaniach, spora część małżeństw i samotnych „z góry” zapisuje się do tych „z dołu”, tych dochodzących z miasta na całodzienny pobyt. Rozwiązuje im to problem wyżywienia, oddala samotność, pozwala zawiązać nawet przyjaźnie, korzystać z rozrywki kulturalnej, z odczytów, brać udział w pracach samorządowych i koleżeńskich inicjatywach, ponieważ w węższym życiu społeczne jest tam dość bogate.

Zachodzimy do ambulatorium. Oprócz zwykłych urządzeń medycznych dostrzegam wbudowany na stałych podstawach rower, który wprowadzić nie jedzie, bo na to za mało miejsca, ale pozwala na ćwiczenie nóg, wymaga sporego wysiłku całego ciała. Widzę kozetki, a nad nimi lampy soluxowa i kwarcówka, sprostowano właśnie pasowe urządzenie do masażu mechanicznego, jest wanna do przyjmowania leczniczych kąpiel. Nad zabiegami sprawuje tutaj pieczę długoletnia pielęgniarka, Krystyna Bajew. Zdzisław Kątnik jest lekarzem-internistą, pracuje w szpitalu i przychodzi, a równocześnie trzykrotnie w tygodniu przyjmuje tu właśnie pacjentów z „Seniara” — tych „z góry” i tych „z dołu”, co przychodzą z miasta. Nocą jest w każdej chwili do dyspozycji. Nie, nie dostrzega on różnic między nimi a pacjentami z przychodni, tam dwie trzecie, to także ludzie w wieku podeszłym. Napotyka na typowe schorzenia, ale istotnych różnic nie widzi. Jedno jest tylko charakterystyczne: u wielu dochodzących z miasta widać teraz, po kilkumiesięcznych obserwacjach, wyraźną poprawę zdrowia, mają po prostu więcej ruchu, są aktywniejsi, psychicznie lepiej usposobieni.

Zapytuję, czy ta atmosfera się utrzyma, gdy w takim nagromadzeniu ludzi późnego wieku częściej niż w zwykłych domach następować będzie to ostatecz-

ne, co człowieka musi spotkać. Zarówno lekarz, jak i kierowniczka mówią mi, że dotąd takie doświadczenie społeczności, dla której pracują, jest prawie nieznanne. Zmarła niedawno kobieta, jedna z dochodzących. Po miesiącu pobytu wyjechała do krewnych na Śląsk, potem zapragnęła znowu wrócić i przychodzić na Wiejską. Nie żyła się jednak jeszcze z nikim tak bardzo, jak inni i ludzie do niej nie przywykli, więc tego tak boleśnie nie odczuła, ale w przyszłości ci... W przyszłości należy liczyć się ze stresami, chwilowymi załamaniem, jednak życie zwykle jest silniejsze, ono zawsze pozwala wywyższyć się z największego nawet smutku. Gdyby jeszcze znalazł się ten półetat dla pracownika kulturalno-oświatowego, gdyby Spółdzielnia znowu przyszła w sukurs ZOZ-owi, albo gdyby Miejski Dom Kultury znalazł jakieś rozwiązanie. Chętni mieliby wypełnione także wieczory, wszelka nostalgia związana z wiekiem byłaby mniejsza.

Tą nadzieją dzieli się z reporterem także dyrektor Wodzinowski, ale i z innymi problemami. Na razie wystarczy może ten jeden Dom Dziennego Pobytu, chociaż taka Łódź np. ma ich dziesięć ale proporcjonalnie do liczby mieszkańców, to Puławy mają może i więcej? Może więc wystarczy, potrzebny jest jednak wygodny mikrobus. Niektórym chętnym trudno już przejechać nawet z niedługiej ulicy, a co dopiero przyjechać zapchanym autobusem z drugiego końca miasta. Można by więc objąć dziennym pobytom wśród rówieśników o wiele więcej osób, również tych, których sily są już walfie. Ponadto można by ciężki chorym rozwozić obiady, siostry PCK — a jest ich za mało — nie mogą podolać,

ponieważ liczba ludzi starych, nie posiadających opieki rodzinnej, wciąż wzrasta. Nikt dotąd nie użył praktycznej opiece społecznej tak bardzo i skutecznie, jak Puławska Spółdzielnia Mieszkańcowa. Domów dziennego pobytu powinno powstać więcej w naszym regionie, tylko że sprzecznosc i nielogiczność przepisów resortów zdrowia i finansów na pewno zniechęca inne urzędy miejskie od ich przewyciężenia. Na to trzeba nie tylko chęci, ale i sporej odwagi. Instrukcja nr 17 z 18 lipca 1973 roku jest łagodniejsza w sprawie tworzenia tego typu dziennych domów pobytu pomocy społecznej, natomiast zarządzenie ministra finansów traktuje tego rodzaju placówki jak zakład budżetowy i nakazuje mu osiągać przynajmniej 60 proc. odpłatności, a wiadomo, że każda pomoc społeczna już z natury swojej musi i powinna być deficytowa, bo inaczej przestaje być pomocą społeczną właśnie.

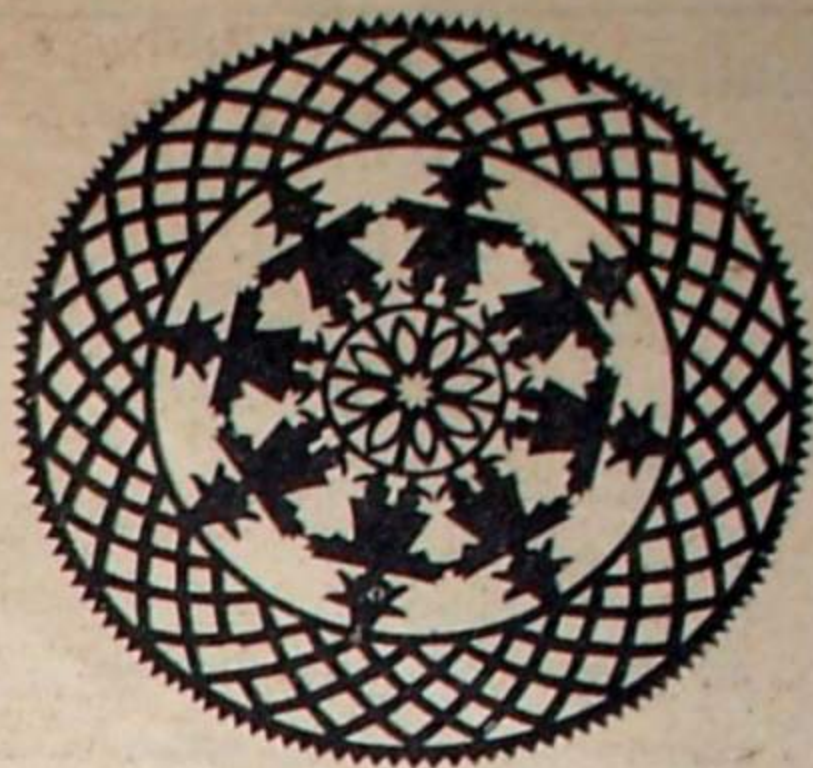
W trudnościach przewyciężenia tych zawiłości prawno-finansowych, no i oczywiście lokalowych, kryje się chyba i to, że w naszym regionie Puławy na razie nie znalazły naśladowców. A przecież przed tą koniecznością żadne z miast i większych ośrodków gminnych w końcu nie uciecze. Ten drugi dom jest już oczywistą koniecznością, Lublinowi np. potrzebne jest kilka, a nie może doczekać się pierwszego. Choć odpowiedni zapis przy ulicy Grotgera uczynił doktorostwo Dorota i Marian Szafniewy, stolica makroregionu nie potrafi tego uczynić, a przecież chlubi się także najstarszą spółdzielczością mieszkaniową, obok warszawskiej, w kraju.

Tadeusz Jasiński

ZIEMIA I DZISIAJ

GRUDZIEŃ 1977

WIEŚ TWORZĄCA W „KAMENIE”



Wycinanka Romana Prószyńskiego z Dzierzkowic-
Terpentyny, woj. lubelskie

Poeci ludowi dzieciom



Helena
Chłopkova

Jest wiosną dla oka —
kwiatem
motylem
słońcem...

Ucho pieści szczybotem ptaka
w maleńkich zrenicach —
znak zapytania
w uśmiechu —
oddanie...

DZIECKO —
problem współczesny
czysta papieru karta...

Jak ją zapiszemy?
Jak odczyta życie?

Chrzanów woj. katowickie



Maria
Kozaczkowa

Dalabym gwiazdę za twój uśmiech,
Choćby się bledsze stało niebo;
Siądę przy tobie, a gdy usniesz
I pod powieki sny przybiegną.
Przybiję gwiazdę nad łóżeczkiem...

A kiedy do niej się uśmiechniesz,
Choć uśmiech ten nie będzie dla mnie.
Scałuję go z rumianej buzi
I nim o świecie się obudzisz
Uniosę z sobą trochę szczęścia,
Jakie niejeden z nas zostawił
W niezapomnianych dniach dzieciństwa.

A tam, skąd wzięłam gwiazdę — w
niebie

Zawieszę uśmiech znad łóżeczka,
Niech zalsni tęczę taką piękną,
Jak baśń o skrzatach zza przypiecka —
I niech z dzieciństwa weźmie każde
W życiu dobroci ludzkiej gwiazdę...

Dąbrowa Tarnowska



Włodysław
Kuchta

Wojtusiowi kreślę
mały wiersz o wiosnie,
taki mały, jak liść drzewa,
taki wosny, jak przyłazeczka,
ciepły, jak słońeczko,
gdy latem ogrzewa...

Niech ucieszy mego wnuczka
wiosna w Pionkach w lesie,
te poszumy starych sosen
i szepc brzoź i dębów,
niech się nisko wiosnie skłoni
i niech wiosną w dom przyniesie...

Mołodutyn woj. chełmskie



Bronisław
Pietrak

Szedł wieczorem z mamą Grześ
Wąską polną dróżką
I mamusi pytał się
Czy ma księżyc łóżko?
Nie ma księżyc swego łóżka,
Niechaj wiedza dzieci,
Bo spać nigdy nie ma czasu,
Przez noc całą świeci.

Lecz Grześ mały jest ciekawy,
Puta mamusi swojej,
Kiedy ciemno jest na dworze,
Czy się księżyc boi?
Czemu miałby bać się księżyc,
Jest wśród wsi i miast,
A do tego go pilnują
tociąg miliony gwiazd.

A co jada, mammo, księżyc —
Puta Grześ mamusi —
Nie ma nóżek, ani rączek,
Ktoś go karmić musi...
Z braku matki odpowiedzi
Więc swój wierszyk kończę.
Ja ci powiem, drogi Grzesiu,
Ze go karmi słońce.

Gutanów woj. lubelskie



Irena
Butkiewicz

Nakryj gwiazdki twoich oczu
powieczek listkami,
bo już wróżka cichej nocy
stoi pode drzewami.

Niesie tobie koszyk bajek,
pięknych snów wiezankę,
śpiewa tobie za kominem
świeterszyczek kołysankę.

Luli, luli, mój chłopczyku,
luli, luli, luli
śpijże błogo i spokojnie
w objęciach matuli.

Przemięły bezpowrotnie
złowrogie dni wojny,
sen twój dzisiaj jest bezpieczny,
cichy i spokojny.

Stoczek Łukowski woj. siedleckie

Stefania Kaplan

MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

Słowik miłosną już grał serenadę,
trawy wsluchane w zachwyceniu stały
i tak w salucie prężnym naokoło
mnie, czy mym grabiom honor oddawały.

Grabie straciły ząb w znoju zażartym,
mnie trud w pól złamał, nogi okajdał,
lecz ja, jak żołnierz co w boju upartym
łękiem przed trudem honoru nie splamiał.

Ciężko ci, ziemio, pod stopami moimi,
ale ja słońce na ramionach dźwigam
i moją radość ledwo unieść mogę,
gdy się tak z cieniem moim w drodze prześcigam.

Oto dom, kury z kogutem na przedzie,
żaby kumkają, krowy już w oborze,
dym wspiera niebo, kret ryje na przedzie...
Tu moje miejsce na ziemi, mój Boże!...

Sucha Beskidzka (woj. śląskie)

Stefan Winnicki

Gawęda o Franku Muzykancie

Opowiem Wom, jak to kiedyś było z
naszym Frankiem Muzykantem, ja-
kie mu się zdarzyło wydarzyć.

Frank muzykant to ja!
Poszedł se kiedyś do wsi Keszycy, jak
to się mówi z chłopkami pogadać o
tym, o tamtym, a najchętniej o dzol-
kach, bo młody był i brany jucha
jak kobut.

Jak go tam ludzie zobaceli, a i lu-
bieli go, bo nieroz przegrzywał na mu-
zykach i weselach, jak zaceli go czen
stawać, tu kilisek, tam kilisek, Fran-
siowi się w oczach zacelo macieć, a
pecyna stawała się coraz cięższa. A
tyś mu i nie żalowali tej gorzolinie,
boć to zaraz po wojnie prawie w co
drugiej chałupie była gorzelnia. A
ludzie bawili się nie tak jak dziś,
nacy się odrabiali czas okupacji i z
uśmiechy, że Hitlera diabli wzieni.

Tak Franusia ugościeli, że ledwo
się na nogach trzymał, aż tu nagle
przypomniało mu się, że matka na
chleb rozczyniła i trzeba pie. Frank
w te pyndy łap rower soltysa z pod
plota i do chałupy. Drogom akurat
jechał wozem Florka chłopak, a tyś
taki wesolutki, że iaz ocy mu się
świeciły jak kotu. Widzi, że Franuś
się okropnie chwicie na tym rowerze,
wo ujedzie kawalek, to w rów, powia-
do: Franuś! co ty się dopiero uczys
na rowerze jeździć?

Franuś jak to usłyszał, zbystroł, a
że muzykant to jucha nie w ciemie bi-
ty, powiada: a może być ty mnie poka-
zoł, jak to się jeździ na tym rowerze,
co? Florków zsiadł z wozu, wzien od
Franka rower, myśli sobie: cekoż, jo
cie postraze, wsiónde na rower i be-
de udawoł, że chce Franka zostawić.
Wsiadł i poleczał, a Franek w te pyndy
skok na wóz, łap za lecki, kunia
batym i do przodu. Zanim się Flork-
ków zorientował, Franuś gnoł do
swoi wsi, ile tchu, a jechał lepi niż

na rowerze. Obejrzał się, Florków go
ni go i krzyczy: Franuś, co ty robisz,
przecież to nie mój wóz, jo go sobie
z pod pospody wypożyczyłem, jeszcze
pójde za niego siedzieć. A Franuś na
to: — a ty myślisz, że rower to moj?

Lowicz



Adam Pach z Zakopanego, wy-
bitny gawędziarz, poeta i rzeźbiarz
góralski, ze swoimi rzezbami.

Józef Małek

KAZIMIERZOWSKI FESTIWAL

Gdy dzień wyciągnął słoneczną kądziel
I szare niebo błękitem zastal —
Archanioł dmuchnął w drewnianą trąbę
I w Kazimierzu sądny dzień nastal.

Sąd ostateczny na tronie usiadł
W cieniu diabelskich skrzypiec melodii.
Nim wyrok wyda — grzesznych wysłucha,
Osądzi, którzy prawicy godni.

Na odpustowym dziedzińcu cięba.
Kaplani przetarg Chrystusa robią.
Dziś Chrystus, z wiejskiej wyszedłszy chaty,
Został wydany na mękę snobom.

Gdy dzień wyprzeźnił słoneczną kądziel,
Diabelskie skrzypce księżyc wyciszy —
Znowu, jak wczoraj, w uliczki zbłądzą:
Pieśni słowika i granie Wisły.

Boży Dar, woj. lubelskie

Wanda Czubernat

HANUSIA

Taki toś małuczkie,
jak orzeszek w środku
a jus wylazi z lupinki
i we świat gno.

Pyscuś scyrbąty, na nosku pięgi,
mysie ogonki, wstążki znak —
przez jasne okna jasnej skóry
jaśniejszy widać świat.

Słońce maluje wrzeźniem niebo,
piórnik na plecaku marsia gro,
jej siedmioletni dobry świat
snućkie ocka mo.

Radość maluje słońcem lico,
zawoju do skóry z Hanusiom gno,
jej siedmioletni mały świat
pełne gorstusie chleba mol

Eugenia Kosowska

GDY ODEJDĘ...

Zywota mego dopala się świeca,
byle wiatr może ją zdmuchnąć,
wtedy na wieży dzwon się odezwie
żałobnie, glucho.

Może odejdę w upalne lato,
kiedy falują żyta,
albo odleję razem z ptakami
w mgłę, niby w welon spowita.

A kiedy będę odchodzić wiosną,
gdy świat pozieleje,
wezmę ze sobą garsteczkę nasion
i tam gdzieś w rajy posieję.

Złocistych ziaren zboża różnego,
pszenicy, owsa i żyta,
bo nie zastąpią anielskie chóry
kłosów przesłodkiej muzyki.

A przy niebieskiej drodze posadzę
topole srebrne, wysmukłe,
będą śpiewały o mojej ziemi,
kiedy mi będzie smutno.

I sinych dzwonek nazbieram z miedzy
z serduszkami z rosy kropelki,
by wydzwaniły Panu na chwale,
i stworzył świat taki piękny

Jakubowice Końskie, woj. lubelskie

Władysław Kuchta

DŁONIE NA SNOPIACH

Co dzień mocniej
wzrastam w czas lata,
co dzień głębiej
sięgam w ramiona pól...

Obejmuję wzrokiem
bliskość ziwa,
planuję w nadziei
żniwny czas zbioru...

Mocniej w dłoni
dzierzę się,
by ją złożyć
na snopach zbóż...

Lubię ten czas,
gdy w skwarze lata
zbieram plony
do śpichrza...

Mołodutyna, woj. chełmskie



Maria Kozaczkowa

w ostatnio rozstrzygniętym konkursie pn. „Dziecko w sztuce ludowej — sztuka ludowa dla dziecka”;

JUZ po raz szósty „Chłopska Droga” ufundowała doroczne Nagrody Artystyczne im. Jana Pocka (w latach 1972—1977 przyznano ich już 36), które otrzymują najwybitniejsi twórcy ludowi, zespoły i popularyzatorzy folkloru. W br. laureatami zostało sześciu samorodnych artystów chłopskich: Marian Adamski, znany rzeźbiarz ze wsi Sobiska, woj. siedleckie, zdobywca licznych nagród w konkursach ogólnopolskich prezes Siedleckiego Oddziału STL; Stanisław Korpa, rzeźbiarz i malarz z Rudy, woj. sieradzkie, autor wielu wystaw, laureat I nagrody

Laureaci Nagrody Artystycznej im. Jana Pocka

Maria Kozaczkowa, poetka i publicystka z Dąbrowy Tarnowskiej, mająca na swoim koncie szereg nagród w konkursach literackich i setki utworów publikowanych w prasie i antologiach, autorka tomu poezji „Bośo po rośle”; Stanisława Niedzwiedzka, ze wsi Baba, woj. łomżyńskie, która wywodzi się ze znanej kurpiowskiej rodziny Konopków i — podtrzymując tradycję — zajmuje się plastyką obrzędową wycinanką i zdobnictwem wnętrza; Michał Słowik — Dzwon ze Szczawnicy, woj. nowosądeckie, poeta, gawędziarz i kronikarz, piszący gwara Górali pienińskich, uprawiający ponadto malarstwo na szkło i rzeźbę, zasłużony działacz społeczny; Stefan Winnicki z Łowicza, wybitny instrumentalista (grający na 5 instrumentach), kierownik kapeli łowickiej, która na festiwalach zdobyła najwyższe nagrody i wyróżnienia, wiceprezes ZG STL, twórca, który ma — obok tak licznych zajęć — również czas na pisanie wierszy i gawęd.

„Żołnierz obrońcą i budowniczym”

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki, Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego i Stowarzyszenie Twórców Ludowych ogłosiły konkurs na wiersze poświęcone Ludowemu Wojsku Polskiemu pod hasłem: „Żołnierz obrońcą i budowniczym”, w którym mogą wziąć udział wyłącznie członkowie STL. Uczestnikom pozostawia się swobodę wyboru tematu z zakresu: życia i szkolenia Sił Zbrojnych PRL, udziału żołnierzy Wojska Polskiego w misjach pokojowych ONZ, polskiego czynu zbrojnego w latach II wojny światowej, tradycji i współczesnych treści braterstwa broni z Armią Radziecką i innymi armiami Układu Warszawskiego, dziejów chwwały oręża polskiego i walk o postęp społeczny od czasu budowania zrębów państwa polskiego po czasy najnowsze, wkład żołnierza polskiego w rozwój społeczno-gospodarczy kraju.

Na konkurs można nadsyłać tylko wiersze dotychczas nigdzie nie publikowane, w liczbie 3—5, w maszynopisie lub bardzo czytelnym rękopisie, każdy w trzech egzemplarzach. Przesyłka, opatrzona dopiskiem: „Wojsko Polskie w poezji ludowej”, powinna oprócz wierszy zawierać także kopertę opatrzoną godłem (tym samym, co utwory), w której należy podać imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres. Prace należy przysyłać pod adresem: Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych ul. Dąbrowskiego 9, 20—109 Lublin, w terminie do dnia 2 lutego 1978 r.

„Rok obrzędowy w moich wspomnieniach”

BARDZO celowe i owocne okazało się ogłoszenie przez Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Muzeum Wsi Lubelskiej i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie konkursu „Rok obrzędowy w moich wspomnieniach”. Świadczy o tym m. in. fakt, że wpłynęły na niego 132 prace 70 autorów. Konkurs został podzielony na dwie kategorie: I — prace o charakterze literackim, a więc wiersze, legendy, opowiadania, wspomnienia (wpłynęły tu 74 prace) i II — zapisy obrzędów (łącznie 58 pozycji). Jury w składzie: mgr Maria Grybel-Meksula — przewodnicząca i członkowie: mgr Janina Babinicz-Witucka, mgr Alfred Gauda, dr Roman Rosiak i mgr Stanisław Wermeczek — przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

Kategoria I (literacka): I nagroda — w wysokości 2000 zł — Roman Turek z Łańcuta; II nagroda — 1500 zł — Julian Smuga z Brudzewa, woj. kieleckie; III nagroda po 750 zł — ex aequo: Bronisław Marcinek z Olawy, woj. wrocławskie i Andrzej Murański z Juszczyzny, woj. bielskie, dwa wyróż-

Na zwycięzców oczekują nagrody w wysokości: I — 10 000 zł, dwie II — po 7 000 zł, trzy III — po 5 000 zł i cztery wyróżnienia po 2 000 zł, z tym, że jury może dokonać innego podziału nagród — w zależności od poziomu nadesłanych wierszy. Nagrodzone utwory zostaną opublikowane w prasie, zaś wszystkie prace konkursowe zostaną przekazane do archiwum STL.



Wycinanka Bronisława Pietraka z Gulanowa

nienia po 500 zł: Michał Słowik — Dzwon ze Szczawnicy, woj. nowosądeckie i Paweł Rudzki z Jaworzynki, woj. bielskie.

Kategoria II (zapisy obrzędów): I nagroda — w wysokości 3000 zł — Alfreda Magdziak z Sitawca, woj. zamojskie; II nagroda — po 2000 zł — ex aequo: Kazimierz Prystupa z Wielbórków, woj. kozłowski i Michałina Czwałik z woj. chełmskiego; III nagroda — po 1500 zł — ex aequo: Stefania Pawlak z Łęcznej, woj. lubelskie, Bronisław Duda z Chojnic, woj. bydgoskie i Maria Puterla-Maderowa z Rzeszowa; cztery wyróżnienia po 750 zł: Stefania Budy z Wosówki, woj. rzeszowskie, Antoni Pieper z Jastarni, woj. gdańskie, Krystyna Sylwestrak z Gdańska i Febronia Wojejkowa z Brzeszcz, woj. katowickie.

Specjalne wyróżnienie przyznano ponadto najmłodszej uczestniczce konkursu, 16-letniej Marci Ochab z Ocicka, woj. rzeszowskie.

Należy stwierdzić, że konkurs dostarczył wiele wartościowego materiału.

VI KONKURS LITERACKI IM. JANA POCKA

ROZSTRZYGNIEŃY został kolejny, VI Konkurs Literacki im. Jana Pocka, organizowany rokrocznie przez Stowarzyszenie Twórców Ludowych dla pisarzy zrzeszonych w STL. W tym roku udział w nim wzięło 62 twórców, którzy nadesłali 192 utwory wierszem i prozą, przy czym ta ostatnia reprezentowana była bardzo skromnie — 17 gawędami i opowiadaniem. Jury w składzie: dr Roman Rosiak — przewodniczący i członkowie: mgr Jan Adamowski, Aleksander Fijałkowski i mgr Stanisław Wermeczek — postanowiło przyznać nagrody i wyróżnienia następującym pisarzom: I nagroda w wysokości 3000 zł — ex aequo: Józef Małek z Bożego Daru, woj. lubelskie i Stanisław Buczyński z Kotorowa, woj. zamojskie, II nagroda — w wysokości 2000 zł — Stefania Kaplan z Suchej Beskidzkiej, woj. nowosądeckie,

III nagroda — w wysokości 1000 zł — Eugenia Kosowska z kol. Jakubowice Końskie, woj. lubelskie i Władysław Kuchta z Mołodutyna, woj. chełmskie, wyróżnienia po 500 zł otrzymało ponadto 8 pisarzy:

Tadeusz Machnowski z Ostrofełki, Wawrzyniec Hubka ze Zlatnej, woj. bielskie, Helena Chłopkowska z Chrzanowa, woj. katowickie, Stanisław Komoniewski z Krzywki, woj. olsztyńskie, Genowefa Książek z Majej, woj. rzeszowskie, Maria Kozaczkowa z Dąbrowy Tarnowskiej, Roman Jan Giee z Jankowic, woj. kieleckie i Władysław Sitkowski ze Zwierzynca, woj. zamojskie.

Gratuluje laureatom konkursu zdobytych nagród i wyróżnień, prezentujemy niektóre ich utwory, życząc powtórzenia sukcesów w przyszłym roku.

Autonomiczny dodatek „Kamień” „Ziemia i Pieśń” pod redakcją Romana Rosiaka.

KONKURS SKRZYPCOWY W POZNANIU

Dokończenie ze str. 1

ntalentowanych solistów, dającą możliwość zaprezentowania swych umiejętności najwybitniejszym specjalistom — muzykom, krytykom i muzykologom, stwarzającą szansę międzynarodowej kariery, otwierającą najzdolniejszym drogę na estrady całego świata. W latach trzydziestych naszego stulecia konkursy muzyczne były zjawiskiem zupełnie wyjątkowym i sporadycznym. W ukształtowaniu ich artystycznego i organizacyjnego modelu oraz spopularyzowaniu samej idei konkursu rolę inicjatora odegrało polskie środowisko muzyczne. Już w 1927 i 1932 roku Warszawskie Towarzystwo Muzyczne zrealizowało projekt Międzynarodowych Konkursów Pianistycznych poświęconych pamięci Fryderyka Chopina. W kilka lat później, przygotowując obchody 100-lecia urodzin Henryka Wieniawskiego WTM postanowiło wyzyskać pewien kapitał doświadczeń, zdobytych przy okazji dwóch pierwszych konkursów chopinowskich i zorganizowało w 1935 r. konkurs wiolinistyczny, również o zasięgu międzynarodowym. Powodzenie i sukces tej inicjatywy przesądziły o ustanowieniu konkursu im. Henryka Wieniawskiego imprezą stałą, powtarzaną co pięć lat jako muzyczny turniej młodych talentów. Po przerwie wojennej konkursy wznowiono w 1952 r., przenosząc je do Poznania. Tegoroczny, siódmy z kolei, zamknął jednocześnie dwudziestoletni okres poznańskiej tradycji konkursowej. Wypada zatem z racji srebrnego jubileuszu — zastanowić się nad dorobkiem poznańskich spotkań wiolinistycznych.

Niewiele jest liczących się estrad koncertowych, na których nie pojawili się artyści, zawdzięczający swoją przynależność do wąskiego kręgu mistrzów sztuki skrzypcowej Międzynarodowym Konkursom im. H. Wieniawskiego. Za argumenty niech posłużą nazwiska laureatów: Dawid Ojstrach i Ginette Neveu (1935), Igor Ojstrach i Wanda Wiłkomirska (1952), Roza Fajn i Sidney Harth (1957), Charles Treger i Krzysztof Jakowicz (1962), Piotr Janowski i Kaja Danczowska (1967) czy Tatiana Grindienko (1972). Dołączając do nich zapewne niedługo laureaci tegorocznego konkursu, tym bardziej, że — zdaniem wielu jurorów — właśnie poziom uczestników i finalistów był w bieżącym roku niespotykany wysoki.

VII Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego odbył się w dniach 13—27 listopada. Gre czterdziestu kilku kandydatów z 17 krajów czterech kontynentów oceniało jury, złożone z przedstawicieli 13 narodowości. Jego przewodnicząca — prof. Irena Dubiska zasiadała w jury wszystkich dotychczasowych konkursów, a wraz z nią w pracach jury uczestniczyli laureaci poprzednich konkursów (I. Ojstrach, K. Jakowicz) oraz inni wybitni pedagodzy i wirtuozi, jak J. Fournier, A. Gerler czy R. Totenberg. W pierwszym etapie kandydaci przedstawili następujący program: I i II cz. Sonata g-moll, a-moll lub C-dur na skrzypce solo — J. S. Bae'a, jeden z Kaprysów op. 10 nr 3.6 lub 7 Wieniawskiego, drugi z Kaprysów Wieniawskiego, Kurpińskiego lub Paganiniego (w ograniczonym wyborze) oraz jeden z Polonezów Wieniawskiego. W drugim etapie program obejmował: II cz. jednego z wybranych koncertów Mozarta, jedną z wybranych sonat kompozytorów XX wieku, jeden z *Mitów* lub *Romanów* Szymanowskiego oraz utwór dowolny. Wreszcie program trzeciego etapu, obejmujący występ z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, dawał do wyboru po jednym z dwu grup koncertów: oba koncerty Wieniawskiego (fis-moll i d-moll) i koncert A-dur Karłowicza oraz Koncerty: D-dur nr 1 Prokofiewa, nr

2 Bartoka i nr 1 Szymanowskiego. Interesujące, że spośród finałowej jedenastki największą popularnością cieszył się z pierwszej grupy Koncert d-moll Wieniawskiego (choć laureat II nagrody, Piotr Milewski, grał właśnie koncert fis) oraz koncert Prokofiewa odpowiednio z grupy drugiej. Zwycięzca VII Konkursu, w zgodnej opinii wszystkich obserwatorów największa jego indywidualność, radziecki skrzypek Wadim Brodski, grał Koncert d-moll oraz Bartoka, zaś ulubieniec części publiczności, Peter A. Zazofsky ten sam zestaw koncertów i trzeba stwierdzić, że różnica na korzyść Brodskiego zarysowała się dość wyraźnie. Należy jednak zgłosić zastrzeżenia co do układu programu. Zbyt jednostronnie faworyzuje on muzykę z początków XX wieku na niekorzyść „klasyki”, dającej większe pole do popisu technicznego, pozwalającej zaprezentować dojrzałość interpretacyjną i umożliwiającą wprowadzenie bogatszej skali porównawczej (zwłaszcza w finale). Trudno wyobrazić sobie wielki konkurs skrzypcowy, który nie obejmuje swym artystycznym regulaminem takich arcydzieł, jak koncerty Beethovena, Czajkowskiego, Brahmsa, Mendelssohna czy Vieuxtempa. Pewne wątpliwości może budzić także obsadzenie w roli dyrygentów w trzecim etapie młodych kapelmistrzów, nie dysponujących jeszcze kapitałem doświadczenia, które mogłoby w każdej sytuacji dopomóc stremowanemu wykonawcom. Te uwagi nie umniejszają przecież w niczym ogólnej oceny VII Konkursu, który uważać trzeba za wydarzenie dużej rangi w mu-



Rys. E. Ingłot

zycznym życiu Europy w bieżącym roku.

Od dawna już, przy okazji konkursów chopinowskich, jak i konkursów im. H. Wieniawskiego, Filharmonia Lubelska wykazuje podziwu godną operatywność, sprawiając na koncerty do naszego miasta możliwie pełny skład laureatów, co świadczy o umiejętnościach organizacyjnych dyrekcji, ale również i o randze, jaką ma obecnie nasza estrada w Polsce. W dniach 4—6 grudnia wystąpili w Lublinie: Charles André Linale (IV nagroda), Michail Wajman (II), Zachar Bron (III) i Hiro Kurosaki (V), zaś 14 bm. laureat I nagrody Wadim Brodski. Warto podkreślić, że w ramach październikowej prezentacji ekipy polskiej lubelska publiczność miała też możliwość wysłuchania Piotra Milewskiego (II nagroda). Refleksjami z koncertów laureatów konkursu podzielił się z czytelnikami przy innej okazji.

Stefan Münch

W LIPCU 1976 roku decyzją władz centralnych Horyniec-Zdrój odzyskał utraconą po wojnie rangę uzdrowiska. Miejscowe wody siarczane już w XVII wieku znane były z właściwości leczniczych. Przyjeżdżał tu ze swych posiadłości w Podhorecach i Żółkwi król Jan III Sobieski, a że ziemie te należały do jego rodu, wybudował w Horyńcu zamek myśliwski o czterech strzelnicach, których wewnętrzne mury ocalały po dziś dzień, wraz z lochami. Przed drugą wojną światową z wód i borowin w Horyńcu korzystało w sezonie ponad 6000 kuracjuszy. Po wyzwoleniu ziem nadgranicznym nie wiodło się. Walki z bandami UPA ciągnące się od Bieszczadów po Roztocze nie oszczędziły Horyńca. Zniszczona baza materialna i infrastruktura, centralne położenie innych uzdrowisk, a przez to łatwiejszy dojazd, wreszcie inwestowanie tylko w bardzo na tych terenach zacołane rolnictwo spowodowały, że dopiero po zmianach administracyjnych kraju przed Horyńcem wyłoniła się szansa powrotu do dawnej świetności. Krótki rzut oka na mapę. W południowowschodnim krańcu Polski odczytać można kilka nazw miejscowości

wark, ale nie zwolniłem nikogo, bo to żadna sztuka zwolnić. Chcieli nam GS zabrać do Lubaczowa, a co to za grona bez spódnicy? Jeździłem, tłumaczyłem w Przemyślu, zaufali, i rezultaty chyba są. Obok tego, że Horyniec jest uzdrowiskiem, nie wolno zapominać o najważniejszych zadaniach wsi, czyli rolnictwie. Stworzyliśmy pierwszy w województwie klub gospodarstw specjalistycznych. Specjalizacja to jedyna szansa, szczególnie że bazować w przyszości możemy tylko na hodowli, ziemia tu słaba, IV, V, VI klasa, ale jeżeli dba się o nią, to rodzi. Większość gruntów uprawiana jest przez gospodarke uspołecznioną, a indywidualni rolnicy coraz częściej łączą się w zespoły. Trudno jest rządzić tak nietypową dla wsi sprawą, jaką jest uzdrowisko. Wzorców żadnych, a kłopotów sporo. Kadra fachowa, lekarze, personel średni — kto zechce tu przyjechać na stałe? Tu jest ciężko, zimą, jak zasypie, dojechać trudno. Dochodzimy więc do problemu, który nurtuje mnie od początku: do motywacji osiedlenia się w Horyńcu przez fachowców. Dr Wróblewski — naczelny lekarz uzdrowiska — to horyńczanin z urodzenia, zamieszkał w wyborze. Twierdzi, że wrócił po studiach do wsi,

Jedź do Horyńca!

Aleksander Rozenfeld

brzmiałyby niezwykle ładnie i miękko: Lubaczów, Basznia, Werchrata, Hrebennie, wreszcie Horyniec. Gdybym chciał pokusić się o próbę reklamy, nie zawahałbym się użyć sloganu: „bo jeśli chcesz wypocząć to latem jedź do Horyńca”. Cisza, spokój, znakomite wody, baza noclegowa i gastronomiczna — wszystko, to powoduje, że przyjazd do Horyńca może dać znakomite rezultaty leczniczo-rekreacyjne. Gościnność rzadko spotykana, tu jeszcze miejscowi nie są zepsuci nadmiarem turystów, ceny nie są zbyt wygórowane, na każdym kroku widać zaobaczenie i troskę o sprawy elementarne. Władze gminy rozumieją, że turysta i kuracjusz, nie są zlem koniecznym, że goście, którzy tu przyjadą, są szansą dla polepszenia bytu tak dotąd zaniedbanych okolic.

Z sekretarzem Komitetu Gminnego PZPR, Romanem Krawczykiem, zaprzyjaźnić się nie trudno. Wiek — 28 lat ukończone Studium Nauczycielskie w Krośnie; przez parę lat uczył, był kierownikiem szkoły. Kilkakrotnie proponowano mu przejście do pracy w aparacie, odmawiał. Twierdzi dzisiaj, że argumenty, którymi posługiwał się, nie utracił nic ze swej aktualności.

— Nie małem nigdy — mówi — specjalnego doświadczenia w kierowaniu zespołami ludzkimi. Szkoła to co innego. Bardzo mnie zawsze frapowała praca z dziećmi. A dorośli — cóż, nawyki już ukształtowane, struktury społeczne tradycyjne, trudno przysięść z zewnątrz i rządzić. Mądrze rządzić.

Sekretarz proponuje mi przejście się po Horyńcu. Najstarsze sanatorium horynieckie to „metalowcy”, budynek jeszcze sprzed wojny, ale piękny, kawiarnia w piwnicach, pokoje dwu-trzyosobowe, gabinety lekarskie, stołówka.

— Święto, wykończono sanatorium CZKR to budowa, na którą składali się chłopcy z całego kraju. Dość mamy dziennie po parę listów od rolników, kiedy wreszcie będą mogli przyjechać. Spodziewamy się wkrótce pierwszych kuracjuszy. Był tu u nas niedawno tow. Kruczek, a tow. Drewniowski, nasz pierwszy z Przemyśla, jest u nas bardzo często. Horyniec jest jedynym uzdrowiskiem na terenie tego nowego województwa, stąd ambicje władz, aby wyglądać pięknie... Na wszystkim więc muszę się znać: handlu, rolnictwie, służbie zdrowia, szkolnictwie. Człwiec trzeba, bo przecież gdy rozliczam kogoś z zadań niewykonanych, ten rozliczony znać musi, że nie jestem nentek i bajeru nie może mi wstawić. Zonę mam świetną, wychodzę z domu — dzieci śnią, wracam — też śpią. Nie ma niedziel, świąt, urlopu jeszcze z ubiegłego roku niewykorzystany.

Gdy przyjeżdżałem tu dziewięć miesięcy temu, GS zamykał rok budżetowy prawie milionem strat. Trzy kwartały tego roku to milion zysku. Rodzinka rządziła GS-em, musiałem wstawić parę ludziom, że to nie prywatny fol-

bo krzyc tu ładny krajobraz i w ogóle pięknie. Kiedy ripostuję, że to banalna argumentacja, doktor chmurnieje.

— Tu zostawiłem w czasie wojny całą rodzinę — mówi. — Walczyłem z bandami UPA; a wróciłem, bo to jest uzdrowisko dla tych, co przyjadą z Lublina, Krakowa, Warszawy. Czy pan myśli, że przed wojną chłopie jeździł do sanatorium! Na gumie zdychał!

— Doktor tak zawsze — uśmiecha się sekretarz — jak wraca do przeszłości to krzyczy, ale ja jeden wiem, ile on tu zostawił, a ile jeszcze zostawić może. Bez niego nic byśmy nie zrobili, to dobry duch tego miejsca, właśnie Horyniec powinien się nazywać Wróblewem.

Ma Horyniec ambicje nie na wyrost. Tu od paru lat odbywają się biesiady teatralne, przyjeżdżają amatorzy z całego kraju, tu jest teatr. Zdziwiony wchodzi do pięknego budynku w stylu neoklasycyzyzm; to dzisiaj siedziba Gminnego Ośrodka Kultury, ale i teatr z prawdziwego zdarzenia, ze sceną, zapleczem, kawiarnią „Teatralną”.

— Chcemy — mówi sekretarz — uczynić Horyniec miejscem, do którego chętnie się jeździ, miejscem, do którego się tęskni.

— Ale dojechać do was trudno, pojechać z Krakowa w nocy, z Lublina dzień-dwie godzin, z Warszawy jedenaście, dworca nie ma, autobusy zimą praktycznie nie kursują...

Moi rozmówcy potwierdzają, że komunikacja to pięta achillesowa, ale już jest opracowana dokumentacja dworca kolejowego z prawdziwego zdarzenia, czynione są zabiegi o budowę kilku kilometrów szosy łączącej Horyniec z Hrebennem, dzięki czemu można by uruchomić połączenie autobusowe Lublin — Zamość — Tomaszów — Przemyśl.

— Zabiegamy o „bogatech wujków”, chcemy zaoferować górnikom, siarce, hutnikom niedłamaną walory tego miejsca, chcemy, żeby w Horyńcu zaczęli inwestować ludzie z wyobraźnią.

Jeszcze zobaczyłem cudo architektury sakralnej z XIV wieku, cerkiew w Raduziu, na cmentarzu prawosławnym blisko cerkwi ujrzałem obok nagrobków z podwójnie-uciętymi krzyżami, nagrobek z metalową tabliczką, a na niej napis: „Tu spoczywają Ryba Józef, Ryba Kazimierz, Żelik Katarzyna, Jacek Wojciech, Jacek Franciszek — zamordowani w 1944 roku”. W ten to sposób parabolizacja historii, o której mówi doktor Wróblewski, jeszcze raz zatoczyła swój nieublagany łuk. Odjeżdżam pociągiem z małego przystanku kolejowego Horyniec-Zdrój i widzę ten tłum wysiadających za lat parę, w jednym z najpiękniejszych miejsc Polski.

Kamena str. 13

Kultura 1977

W. Rasputin mówi:

Literatura jest wyrazem moralności narodu; jej powołaniem jest kształtowanie dobroci, zyczliwości dla innych, miłości do ojczyzny i „ziemi”. Tak więc, Walentyn Rasputin wcale nie uważa, aby trzeba było omijać bezkompromisową analizę psychologiczną zjawisk, które dzieją się w jego świecie, inaczej bowiem nie byłby pisarzem współczesnym. Skończył lat 40. Urodził się i przeżył dzieciństwo w wiosce syberyjskiej nad brzegami Angary. Studia historyczno-filozoficzne oraz wieloletnia praca dziennikarska w radzieckiej prasie młodzieżowej posłużyły mu jako materiał do obserwacji pisarskich, z których ostatnio korzysta. Za powieść „Żyć i pamiętać” został wyróżniony w 1977 roku nagrodą państwową ZSRR. Odpowiedzialność moralna człowieka za jego czas i możliwość poniesienia tej odpowiedzialności — oto są sprawy interesujące Rasputina, autora zresztą kilku powieści, które spotykały się z bardzo żywym oddźwiękiem w krytyce radzieckiej: „Pieniądze dla Marii”, „W ostatnią godzinę”, „Pożegnanie z matką”.

Pani Christie milczy:

na temat, który od dawna interesuje wschodnich dziennikarzy całego świata. Otoż zimą 1939 roku pisarka zniknęła, a następnie pojawiła się po kilkunastu dniach pod zmienionym nazwiskiem w jednym z podlondyńskich hoteli. Oweznany mąż zaginionej, pułkownik Archibald Christie, postawił na nogi całą policję, natomiast „National Newspapers” oferowały 100 funtów nagrody za odnalezienie zaginionej lub udzielenie jakiegokolwiek wiarygodnych informacji w tej sprawie... Pisarkę w końcu

odnaleziono, ale jakie były przyczyny jej tajemniczego zniknięcia, do tej pory nie wiadomo, mimo iż ukazała się przeszło 500-stronowa „Autobiografia” Christie, wydana po śmierci autorki w Londynie w 1977 roku. Cenne stanowi ostatnia sensacja białawowej angielskiej prasy, dotyczącej osobistych, bądź co bądź, spraw życia pisarki, która z zagadkowości uczyniła swoje powołanie.

Bajki George Lucasa:

pod tytułem „Wojna gwiazd”. Nazwiska nie mylic ze znanym krytykiem literatury. Autor powiada o sobie: „Mój ojciec był właścicielem baru w Modesto w Kalifornii. Niczym nie różniłem się od rówieśników, byłem niesmiałym, łatwo się czerwiłem. Przed rozpoczęciem studiów filmowych studiowałem socjologię i antropologię. Dostałem filmy o piratach i westerny są już niemodne. Chciałem pokazać coś innego, która zainteresuje młodych. Film zaczynał się słowami: Bardzo, bardzo dawno temu w galaktyce bardzo, bardzo odległej...” Nie wiadomo, czy byłoby to interesujące dla wszystkich młodych, tym bardziej że autor kreuje swoje postacie na podobieństwo Filipa i Flapa, w każdym razie socjologię i antropologię skończyć warto, bez względu na bajki odległe.

Hasior nie tylko w Polsce:

bo także na przykład w Londynie, na dwu wystawach zorganizowanych przez Polski Instytut Kultury w Londynie. „Awangardowa sztuka plastyczna — rzeki Hasior — jest obecnie zjawiskiem powszechnym. Te same lub bardzo podobne poszukiwania twórcze i różne uduchawiania można spotkać w Nowym Jorku, Sztokholmie,

Paryżu, Londynie, Amsterdamie czy innych miastach. Wzrost można dostrzec gorączkowe poszukiwania twórcze. Czas na pewno nie zweryfikuje, ale myślę, że tylko sztuka prawdziwych indywidualności, wyrosłych z konkretnych tradycji kulturowych, artystycznych czy historycznych danego środowiska lub narodu ma szansę na przetrwanie i na akceptację społeczną”. Ma rację Władysław Hasior, który przeciw wyrostowi w konkretnych warunkach historycznych, czego nie można między bajki włożyć, a co on dokumentuje swoją wcale nietatwą sztuką.

Elisabeth Schwarzkopf w Warszawie i Poznaniu:

szkoda, że również nie w innych miastach naszego kraju... Jest to dramat człowieka, po prostu: „Śpiewałam w latach swych szczytowych możliwości 60 partii operowych — powiedziała słynna śpiewaczka. — Śpiewanie sprawia mi już duży wysiłek, kończę niebawem 62 lata... Moje kontakty z muzyką polską są raczej sporadyczne. Jako entuzjastka Chopina, dałam kiedyś w Rzymie recital jego pieśni, ale nie był to szczęśliwy pomysł, bowiem śpiewałam po niemiecku, w języku, który absolutnie nie nadaje się do tego typu muzyki. Pieśni Chopina można śpiewać tylko po polsku, ale z kolei, aby śpiewać w jakimś języku, trzeba go znać. Interesuje mnie twórczość Pendereckiego, lecz jest to muzyka zbyt nowoczesna i trudna dla mnie...”

Joan Baez:

nie śpiewa o białym mercedesie i trzech najgorszych skrótach na świecie: USA, LSD, LBJ, ale śpiewa równie wstrząsająco. Pieśń protestu, którą reprezentuje Joan Baez, nawiązuje do amerykańskiego folkloru, do pieśni pionierów, niewolników i farmerów. W ciągu kilku tygodni sprzedała milion płyt swego pierwszego albumu. Powiedziała rzeczniczką komercyjnego rynku amerykańskiego: „Nie liczę, że się na mnie wzbogaciecie, nie jestem maszynką do robienia forsy. Chcę oświecać ludzkie serca, dodawać ducha wątpiącym...” Forsa jednak została zrobiona przez menadżerów pieśniarki w realiach tamtego świata. Jej mąż,

David Harris, spędził trzy lata w więzieniu, ponieważ odmówił wyjazdu do Wietnamu jako żołnierza amerykański. Nazywają ją „Madonna niekochanych”, albo „Madonna muzyki folk”. Widzeliśmy ją w Sopocie przed laty, śpiewała z dzieckiem na ręku piosenki o potrzebie pokoju.

Człowiek umiera godnie:

wstrząsając swoją odwagą i bezkompromisowością, że jeszcze tak potrafi umierać człowiek. Oto — według „Forum” — relacja oprawcy Che Guevary: „Była to najgoręsza chwila w moim życiu. Kiedy wszedłem, Che siedział na ławce. Na mój widok powiedział: Przyszłaś, żeby mnie zabić. Poczułem wstyd i opuściłem głowę, nie miałem odwagi spojrzeć na niego. Kiedy wyjął mi się wielki, bardzo wielki. Kiedy spojrział mi w oczy, przestraszyłem się. Pomyślałem, że może mi wyrwać broń. Uspokoj się — powiedział — po prostu zabijesz człowieka. Cofnąłem się aż do drzwi, zamknąłem oczy i na ślepo oddałem pierwszą serię. Che upadł...”

Malarstwo także w Ozorkowie:

W fabryce konfekcyjnej „Teofilów” w Ozorkowie koło Łodzi otwarto wystawę martwych natur, namalowanych przez członków zakładowego koła plastycznego. Jest to działalność, która ma w tym zakładzie swoje tradycje, a patronuje jej fabryczny plastyk — Jan Steglinski. Każdorazowo wystawę, ekspozycję w korytarzu u wejścia do hal produkcyjnych, ma możliwość obejrzeć blisko dwa tysiące osób. Należałoby zyszczyć takiej widowni niejednej ekspozycji profesjonalnej.

Śpiewające niewiasty:

W Drelowie, województwo białostockie zbierają się wieczorami przy robotkach ręcznych żony miejscowych rolników i innych osobistości. Wykonują dawne pieśni podlaskie. Na festiwalu folklorystycznym w Kazmierzu nad Wisłą zajęty w 1977 roku pierwsze miejsce w swojej kategorii. Jest to zasadniczo działalność zupełnie bezinteresowna.

Ludowe biblioteki:

w województwie śląskim, gdzie wiele uwagi poświęca się modernizacji bibliotecznych lokalów, wyposażając je w ludowe sprzęty i wystroje. Na biblioteki przeznaczają się także pomieszczenia w obiektach kulturalnych, jak choćby w samym Śląsku, gdzie biblioteka wojewódzka znajduje się w budynku poklasztornym.

Wiadomości poetyckie, a których świat na szczęście się nie kończy...

Pewni młodzi poeci lubelscy dążą do wioski, iż są zbyt skromnie publikowani ku chwale świata i okolic. Poszli do ludzi, którzy ewentualnie mogliby ich opublikować ku chwale i tak dalej, wyjdą cichcem magnetofon, a może nawet nie cichcem. „To my zaraz nagramy tę rozmowę” — rzekł. Kiedyś napisano na tych amuletach: „Śmia mi się karszki prowincjonalne...” Koniec wszelkich cytatów.

Piosenkarze najniższej notowania:

według „Śpiewek”, według „Jazzu” — Irena Jarońska. Waldemar Kocod, J. (przepraszamy — wstydy nie można spamiętać) Lech, ten od Warszawy puszczył bez ciebie. Po sprawdzeniu należałoby tutaj dodać Maryję Rodowicz. A jeżeli się tego nie robi, to w strachu przed panem Obychakiem.

Wiadomości lubelskie, ale zarazem europejskie:

No więc tak — Kazio śpiewa gdzieś na prowincji, a jak przyjeżdża do Lublina, to bardzo krótko kontaktuje. Kwiat pomału wszystkich z branży liczących się w tym kraju, ale kariery jakoś zrobić nie może. Kazio twierdzi, że kariera przychodzi sama, nie stanowi celu, lecz efekt. Stąd nie spada z drzewa w Lublinie i nie napisał o tym, jedno i drugie ostatnio. Pewien pan przerosł dwa razy biurko w redakcji „Kamery”.

Ekran i widz

Uczestniczyć w kulturze

POWSTAŁ w Lublinie jeszcze jeden dyskusyjny klub filmowy. Mieści się w osiedlowym domu kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, dysponuje piękną salą, a karnety klubowe rozkupiono w ciągu dwóch dni. Oto kolejny przyczynek do dyskusji na temat problemów DKF zainteresowania społeczeństwa filmem i kulturą filmową. Dyskusyjne kluby filmowe starają się wypracować nową formułę działalności. Mówi się przy tym o kłopotach repertuarowych, o niekonsekwencjach zakupów w ramach tzw. „puli specjalnej” przeznaczanej dla klubów i kin studyjnych. Tylko trzecia część klubów może korzystać z zasobów Filmoteki Polskiej mającej około 700 filmów długometrażowych i krótkich. To niezbyt wiele jak na potrzeby ponad trzydziestu pięcioletniego DKF w kraju. Skądinąd owa luka, szczególnie w przypadku filmów archiwalnych, stara się zapelnąć Telewizja Polska, która podjęła szeroki program kształtowania kultury filmowej, że

wspomnę tylko niedawno rozpoczęty cykl „Lata 1945-1955”. Ale przecież kultura filmowa to nie tylko historia kina, filmy archiwalne, nie tylko sprawy formy. Widz chce uczestniczyć w dyskusji na temat otaczającego go świata, na temat filmu, który tak często sięga do problemów współczesności — z dziedziny socjologii, polityki, obyczajowości. Dlatego tak dużym powodzeniem cieszą się przeglądy tematyczne złożone z filmów współczesnych, retrospektywy twórczości znaczących reżyserów, studiowanie dokonanych młodych kinematografii światowych, „nowego kina”. Nie można tutaj nie wspomnieć o warszawskim „Kwancie” z takimi imprezami jak np. ogólnopolskie seminarium: „Film radziecki w świetle leninowskiej koncepcji kultury”. Trzeba też podkreślić zapal i dokonania harcerskiego, szkolnego DKF „Pozyton” działającego w Dynowie, w województwie przemyskim.

Rzecz ciekawa: szamocący się nad wypracowaniem nowych dróg ruchu klubowy zaczyna się rozrastać. Choć w 1974 r. skrócono spośród uczestników Federacji DKF dziesięć klubów filmowych, to powstało 35 nowych. 62 DKF działają przy wielkich zakładach przemysłowych, 48 klubów posiadają studenci, 43 — wojsko i milicja, 35 — harcerstwo i szkoły. Największa liczba działa przy domach kultury, a więc w miejscach, gdzie najłatwiej zachodzą procesy integracyjne. Województwo lubelskie znajduje się na piątym miejscu w Polsce ze swymi 14 klubami (dane z początku 1977 r.) przy czym na czoło wysuwają się Robotniczy Dyskusyjny Klub Filmowy ze Świdnika, Klub przy Garnizonowym Domu Oficera a ostatnio — bardzo aktywnie działający stu-

dencki DKF „Bariera” z całym szeregiem sesji i przeglądów filmowych. Warto choćby wspomnieć o projekcjach i dyskusjach, jakie „Bariera” organizowała dla uczestników młodzieżowej akcji „Chelm 80” a znany wiek w skład RDKF w Świdniku w organizację lubelskiego Międzynarodowego Forum Filmowego „Człowiek — Praca — Twórczość”. To chyba jest właśnie potwierdzenie refleksji zastępcy kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Jana Kasa, który podczas ubiegłorocznego spotkania z nagrodzonymi, zasłużonymi działaczami istniejącego 20 lat ruchu klubowego, wspominał o roli, jaką kluby filmowe mają do spełnienia m. in. w aktywizacji społeczno-kulturalnej nowych środowisk po reformie administracyjnej kraju.

Tradycje filmowego ruchu dyskusyjnego mają swój początek między innymi właśnie w Lublinie. A niektóre DKF są właściwie kontynuacją pierwszych „filii” założonych przez Lubelski Dyskusyjny Klub Filmowy „Zamek”. Był to jeden z pierwszych w Polsce klubów filmowych, współtwórca Federacji. Jeden z jego założycieli i animatorów, doc. Zygmunt Mankowski, wszedł wtedy w skład zarządu Federacji. Powstaniu klubu patronowała Rada Okręgowa ZSP. Siedzibę znalazł klub w Wojewódzkim Domu Kultury na Zamku. Przewodniczył mu ówczesny student prawa Władysław Rusinek, w skład zarządu wchodził m. in. Zbigniew Stepiak, Mieczysław Makowski, dr Wielicki, plastycy — Barbara i Lucjan Wengorkowie, dr Wiesława Majczakowa. Projekcje odbywały się początkowo w zabytkowym kinie „Starmiejskie”, w budynku należącym do rodziny Makowskich, gdzie już w 1968 r. powstał jeden z pierwszych w

Królestwie Kongresowym kinoteatrów stałych — „Theatre Optique Parisien”. Działalność klubu zainaugurowano projekcją „Pancernika Potiomkina”, następnym filmem była „Błękitna rapsodia”. Klub stał się znaczącym w kraju, stawiano go za wzór innym placówkom. Prowadzono „Wieczory filmowych zwierzeń”, projekcje i dyskusje na temat szczególnie trudnych, eksperymentalnych filmów. Nawiązano kontakt z szkołą filmową w Łodzi. Interesującego materiału filmowego dostarczali studenci szkoły, Kazimierz Oracz i Janusz Rzeszewski, wywodzący się właśnie z Lubelskiego DKF. „Filmi” klubu były założone przez „Zamek” — Robotniczy DKF przy Fabryce Samochodów Ciężarowych oraz DKF przy Komendzie Wojewódzkiej MO. Te kluby istnieją do dzisiaj. „Zamek” potrafił połączyć działalność kulturotwórczą z problemem integrowania lubelskiej społeczności i w tym jego wielka zasługa.

Piszę o tym wszystkim m. in. dlatego, że wspomniany na początku, nowo powstały DKF w Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej nawiązuje do tradycji klubu „Zamek”. Prezesem jest Mieczysław Makowski, w skład zarządu wszedł doc. Zygmunt Mankowski. Wśród członków klubu znajduje się wielu ludzi biorących kiedyś udział w działalności DKF w kinie „Starmiejskie”. Klub szuka nowej, przekonywującej formuły: chce stawiać na film polityczny, współczesny, zaangażowany. Prelekcje do inauguracyjnego działalności klubu filmu — „Kabaret”, zatyłowana: „O istocie laszysmu”, wygłosił kierownik Zakładu Historii Najnowszej UMCS, doc. Zygmunt Mankowski.

M. D.

POLEMIKI

Wiedząca? Ejże!

O GROMNY niesmak wzbudził we mnie zamieszczony w 13 numerze „Kamery”, podpisany pseudonimem „Asmodeusz” felieton (?) zatytułowany „Wiedząca czerwona róża”. Czuję się w obowiązku sprostowania kilku przynajmniej teoretycznych i bezpodstawnych stwierdzeń w nim zawartych.

XVIII Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę Czerwonej Róży odby-

wał od zakorzenionych w pewnych środowiskach (także literackich), wyobrażeń. Miał charakter wyjątkowo poważny i odpowiedzialnego wydarzenia, stanowiąc próbę skupienia uwagi skłóconych często grup i pseudo-pokoiów literackich, wokół spraw naprawdę dla naszego życia społecznego ważnych. Był godnym pochwały i uznania usiłowaniem przypomnienia twórcom o wyjątkowo dużej w obecnych czasach odpowiedzialności moralnej literatury. Znalazła to zresztą wyraz tak w werdykcie jury, jak i w dyskusji, która odbyła się po ogłoszeniu wyników turnieju.

Gdybym miał w tym momencie pokusić się o użycie sztampowych, szablonowych określeń, bez wahania zakwalifikowałbym ten prób jako wyraz „mówienia wprost” i „pełnym głosem”, a nie „szepcąc”. Autor felietonu ma na ten temat inne zdanie, i miałby do niego prawo, gdyby nie fakt, że nie uczestniczył w opisywanych przez siebie wydarzeniach. Pisze więc nie o wydarzeniach, lecz o swoich o nich wyobrażeniach, i w tym momencie wypadłoby za pytać o wyobrażenia autora felietonu o etyce, o odpowiedzialności za słowa.

Krzywdzące organizatorów turnieju zdania kładę przede na karb jego nieświadomości, przez głowę nie chce mi przejść myśl, że „Asmodeusz” mógłby świadomie sta-

rać się zaskodzić tak im, jak i sprawom, za którymi się opowiedział.

Nie wiem też, na jakiej podstawie, bez znajomości nagrodzonych utworów, mógł autor felietonu sugerować nieuczciwość jury tej edycji turnieju. Jedynym wytłumaczeniem tego stanowiska wydaje mi się stwierdzenie, że „Asmodeusz” czuje się pokrzywdzony. Ale w takim wypadku felieton powinien nosić nazwę „GORZKIE ZALE” a nie „Wiedząca czerwona róża”.

Zenując nieskromnie brzmii w kontekście poddawane w wątpliwość dorobku twórczego wcześniejszych laureatów turnieju, jakichś nieokreślonych, ale „jak gwiazdy błyszczących na firmamencie współczesnej literatury” poetów, zdanie: „A tu porządkiem wyrzucają pijanego poetę”. Gdyby jednak tylko nieskromnie i zenując. Również i to zdanie felietonu jest fałszywe. Rzeczony „poeta” wyprószony został z „Zaka” nie dlatego, że był pijany, lecz z powodu swojego, bez obrzydliwej, wysocej niekulturalnego zachowania. Gwoli uczciwości — XVIII Turniej Poezji Społecznie Zaangażowanej o nagrodę Czerwonej Róży był jednym z wielu imprez objętych wspólną nazwą „Spotkania Jesienne”, organizowanych przez Klub Studentów Wybrzeża ZAK z okazji XX rocznicy jego istnienia. W sal, w której zgrupowano laureatów konkursu, nie było żadnych świec, nie był to żaden

„wieczór przy świecach”, co autor felietonu stara się czytelniczo „Kamery” wnieść. Proważe świeczki postawiane były w korytarzach i na schodach klubu. Kopycy je (a nie gaszący), „poeta” nie wolał przy tym wcale słów, których można byłoby doszukać się w dziełach Goethego. Żadne motywacje nie ukryją przede mną faktu, że uczynił to tylko i wyłącznie jako swoisty protest przeciwko nie przyznaniu mu przez jury tego turnieju nagrody głównej.

Zresztą i członkiem jury autor stara się w dalszej części swego felietonu „dokopać” pisząc: „coraz trudniej znaleźć członków ZLP w składzie jury”. Nie orientowaliśmy, w tym także autorowi felietonu, wyjąłbym więc, że Zbigniew Bienkowski, Stanisław Czczyk, Mieczysław Czychowski, Tadeusz Siliński i Andrzej Krzysztof Waszkiewicz są członkami ZLP, natomiast niepełna dwudziestopięcioletni Władysław Zawistowski, laureat medalu im. Stanisława Grochowskiego przyznawanego szczególnie wyróżniającym się swoimi utworami poetom młodego pokolenia, ma wszelkie szanse w niedługim czasie zasilić szereg zwiazków.

Nie chciałbym dłużej zajmować czytelniczkę „Kamery”, dlatego zainteresowanych rzetelną oceną tego turnieju, oddajmy do 48 numeru ITD.

Cezary Listowski

POCZTA LITERACKA

S. B. Lublin. Zauważyłbym w tych tekstach pewną nieogrodność. Mówi Pan w nastroju lirycznym, łagodnym, spokojnym, ale w sposób chropowaty i twardy. Przydało by się trochę muzyczności, płynności — czy ja wreszcie wiem? Powtarzam tylko życzenie ucha. Proszę się samemu wsłuchać. Konstatacje padają oddzielnie, nie ma potrzebnej osmozy słodkiej okrasami. Nie namawiam do sta-
roświeccyzny. — Jakby Pan to zrozumiał — ale jakieś spoiwo stylistyczne w wierszu musi istnieć.

R. Z. Lubartów. Opowiadanie nie wy-
szło poza relację. W dodatku nie za-
bardzo ciekawą. Bo gdyby w samej fa-
bulce istniało napięcie wywołane proble-
mem, darowałbyśmy niedomogi języka.
Tymczasem język pozostaje w sferze
re natywnie poprawności, a opisywane
wypadki nie zdobywają się na wymowę.
W sumie — nie bardzo wiadomo co ma-
my odebrać. A gdyby Pan próbował
język raz napisać to samo? Wprawdzie
szewc nie robi dwa razy lednej pary
obuwia, ale w pracy literackiej trzeba
zdobyć się na więcej uporu niż w re-
kodzie. Myślę, że drugi raz przejrzenie
przez ten temat udośćpełni Panu wyra-
źniejsze spojrzenie na popełnione błędy.

W. P. Tarnów. Nie jest to poezja, któ-
rą lubię. Oczywiście może Pan mieć
zastrzeżenia do moich gustów i w ogóle
do takiego sposobu stawiania sprawy, ale
coś będzie, jeżeli więcej czytelników się
w mój sposób wypowie? Mam trochę
czytelników nosa i wiem, co nie chwyci.
Nie chwyci przesadna metaforyzacja,
kwiecistość stylu już dziś wyraźnie de-
modé, nadmiar ornamentu. Dziwne, bo
te objawy zazwyczaj nie wychodzą spod
piór kobiecych, które preferują nastro-
jowość, czy nawet niekiedy sentymen-
talną skłonność do zwierzeń, ale fakt jest
faktem. Proszę chwilkę się nad tym za-
stanowić, następnie spróbować tej „dru-
giej siebie”, bardziej naturalnej. Zdaje
mi się, że warto popracować.

J. K. Ostrów Wielkopolski. Mam wra-
żenie, jakby pański wiersz chciał za du-
żo udziwnić. Bałbym się tego, gdybym
był autorem. O co chodzi. Bynajmniej
nie o jakiś program minimalny, wiele
zamierzyć to zawsze pierwszy postulat
poezji. Ale musi zachodzić zgodność mię-
dzy zamierzeniem a realizacją. Tak, jak
między sprawunkiem a opakowaniem.
Niech to nie kłóć się, niech mielisz się
bez luzów. Wiersz z tą myślą napisany
zawsze ma możliwość zagrać perspektywę,
tym doznaniem, które czytelnik doświad-
cza na zasadzie w nim samym sponta-
niecznie powstałego przedłużenia. Ze
wszystkiego, z najmniejszego drobiazgu
można wyprowadzić poezję. Ale to rze-
mięciniczne prawidło jest nie do ominię-
cia.

R. G. Lublin. Wiersz nie wznosi się,
wiersz spada. Najlepszy jest w tym
miejscu, gdzie powinna być pointa.
Oczywiście obecność pointy w znaczeniu
konwencjonalnym nie jest konieczna, ale
niemożliwy jest cień zamiast najstoj-
niejszego rysu. Kolejność akcentów po-
winna być akurat odwrócona. Czy Pan
nie „wyladowuje” za dużo w pierw-
szych słowach? Jakaś dialektyka, jakiś
scenariusz, obowiązuje również w wier-
szu. Również w krótkim. To też jest
warunkiem jego wymowy.

A. T. Jelenia Góra. Nie jestem prze-
konany, że ten typ prozy najlepiej od-
powiada pańskim skłonnościom. Może
bym na pańskim miejscu tyle nie filo-
zofował. To zreszcie nie próbował pióra
w uogólnieniach „ciekawych spojrze-
niach”. „Intelektualnych oryginalno-
ściach”. Ma Pan nerw ironisty, który
przy takim gawędziarskim ujęciu po-
wodzi trafne i zastanawiające uwagi.
Ale właśnie w aurze swobody, dykteryj-
ki, żartu. Wtedy, gdy Pan śledzi twarz
do powagi, rzecz się zatrzymuje i za-
czytna mniej znaczący. Radziłbym popró-
bować krótszego metrażu.

T. M. Poznań. Jakby tu powiedzieć:
technika łączenia obrazów jest fotomont-
ażowa. Pan jakby nie pytał się swoich
scen czy chcą ze sobą sąsiedować. Kom-
ponuje Pan wycinki i różnych dra-
matów. Dobrze, ale nie pasujące do sie-
bie. Z pewnością nie wypowiadam się
jasno dla kogoś, kto te słowa czyta nie
znając tekstu, ale mam nadzieję, że my
oba się rozumiemy.

K. K. Lublin. Ciekaw byłbym jakiegoś
pańskiego opowiadania na tematy fan-
tastyczne. Wydaje się, że ma Pan do
tego predyspozycje większe, niż do wy-
wołania refleksji filozoficznej. Nie za-
skądziłoby tym bohaterom trochę wię-
cej przeszczerzeń, niech nawet kosmicznej,
taki spacer z pewnością dobrze im zro-
bi. Nie spróbować by? Chyba warto.

E. P. Puławy. Prononowałbym odpo-
cząć trochę od fascynacji Wojaszkim,
którego poezja i pamięć strzymały już
wystarczająco, satysfakcję na lamach
prasy literackiej. Nie mogę jednak sło-
wami powiedzieć na temat nie przeczy-
tanego tekstu. Lojalność każe mi się
zapoznać z nim gruntownie, kiedy bę-
dzie. Nic innego nie mogę odpowiedzieć.

**W. W. Brzeg, Z. J. Gliwice, T. F. War-
szawa, T. J. Świętochłowice, R. B. War-
szawa, Janusz B., S. R. Zdzieszowice,
J. W. Kraśnik, H. G. Wętkowice, J. P.
Mimołomice, W. L. Opole, L. B. Opole,
A. J. Lublin, P. S. Zamość, E. S. Ka-
lisz** — nie skorzystamy.

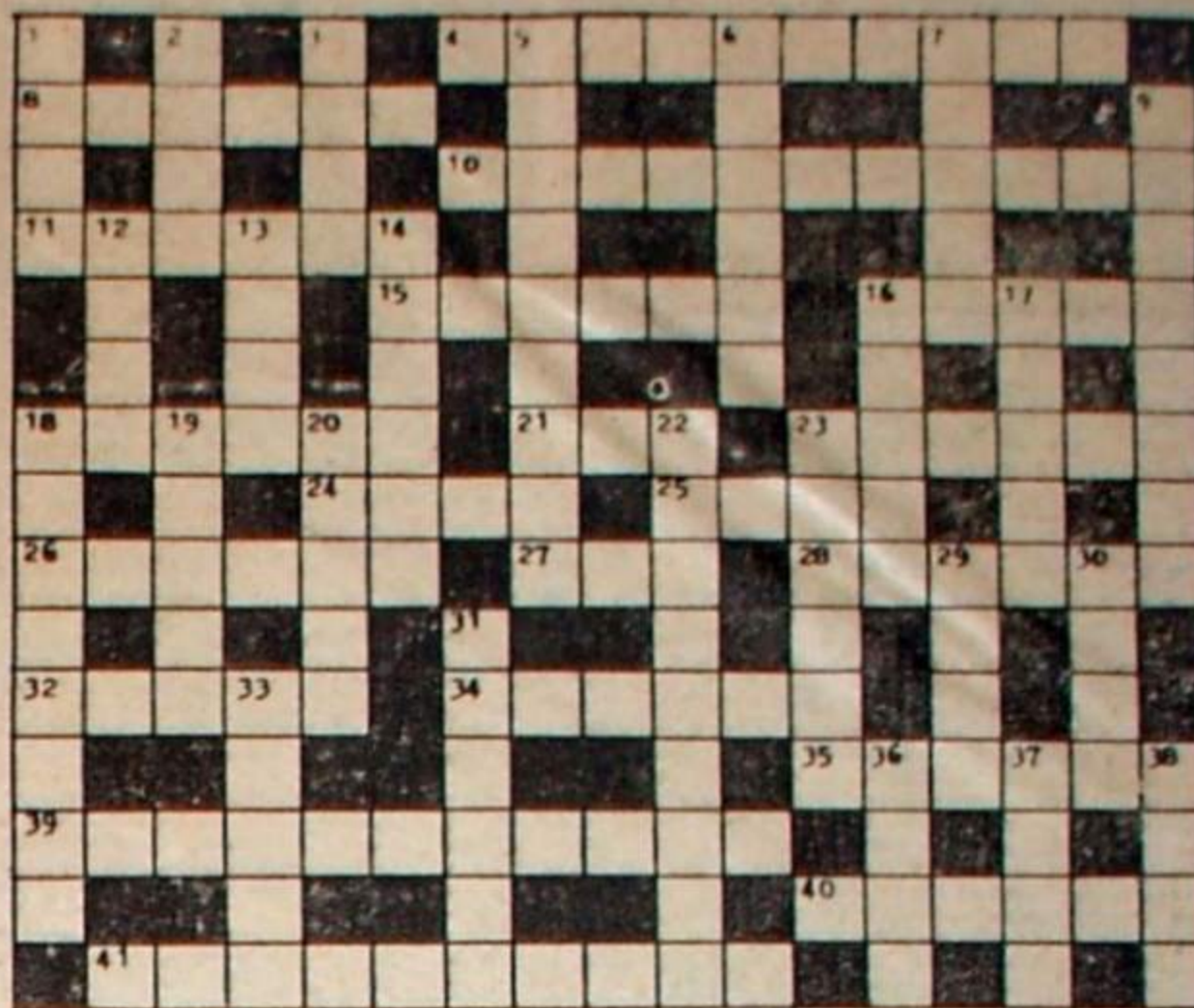
KRZYŻÓWKA

(nr 26)

Poziomo: 4. poeta ukraiński XIX wie-
ku, 7. sep amerykański, 10. znany współczes-
ny poeta radziecki, 11. jednostka papieru, 15.
utwór, 18. polski motorower 18. cesarz rzymski
z przełomu I i II wieku, 21. dodatek do
mięsa, 23. szlonek arystokratycznego rodu, 24.
sługa cerkiewny, 25. znak dodawania, 26. pi-
sarz hinduski, laureat Nagrody Nobla, 27.
przeżywa przez Stargard Szczeciński, 28.
znany współczesny tenor polskich teatrów
greckiego pochodzenia, 29. znak fabryczny, 34.
otwór wulkanu, 35. państwo w pld. Afryce,
38. pisarz rosyjski, autor „Zbrodni i kary”,
40. leży przed Tobą, 41. dorobkiewicz, nowo-
bogacki.

Pionowo: 1. miała pierwszą blednię
tarianową w Polsce, 2. syn syna, 3. popier-
sie, 5. wybitny polski filolog klasyczny zmarły
w 1944 roku, 6. jednozagrodowa posiadłość
w dawnej Rosji, 7. miejsce gwiazd i księży-
ca, 8. wielki filozof grecki otruty cykuta, 12.
szereg po zwrocie, 13. znaki podatkowe, 14.
uporządkowany szereg słów, 16. społeczna lub
szkolna, 17. malarz francuski, autor „Śniada-
nia na trawie”, 18. grecka Diana, 19. ostra
dyscyplina, 20. daje nazwę morzu między pół-
wyspami Apenińskim i Bałkańskim, 22. słyn-
ny balet Chacaturiana, 23. pracownik bu-
dowlany, 29. zastępuje most, 30. region pld.
Maroka nad Atlantykiem, 31. rozszarpały go
własne psy za podglądanie 18-pionowa, 33.
nieżył, 36. natarcie, 37. konkurencja lekkoatle-
tyczna, 38. wigilijny solenizant.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10
dni od daty ukazania się numeru pod adre-
sem (skr. pocz. 231 30-931 Lublin). Wśród au-
torów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy
bony książkowe.



Rozwiązanie krzyżówki z nr 24

Poziomo: Bawieczówna, opel, lis, śnieg,
Eric, Akra, Mielec Kłosowski, owal, szpak,
akant, Kant, finalista, niemiec, cech, fryd,
wyprawa, atu, obol, Sieroszewski.

Pionowo: Wańsiewski, uwagi, uczelnia,
Gorecki, Malewska, kosa, emulsja, kos, Wit-

kacy, Koźniewski, Filinusz, kapelus, bandu-
ra, noc, owies, Eiba, hala.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr
24 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowa-
li: Wacław Belcarz 21-100 Lubartów, Krzywe
Kolo 35, Czesław Pawlina 21-300 Radzyn Pod-
laski, Międzyrzeczka 36, Urszula Mazur 35-632
Rzeszów, Marchlewskiego 12/26, Maria Zaw-
sza 22-269 Włodawa, Szpital.

listy do kamery

SWAWOLNE GRZANIE

Często korzystam z usług PKP i często stu-
cham o potrzebie oszczędzania energii. Tym-
czasem ogrzewane elektrycznie wagony kole-
jowe są chyba największym marnotrawcą
energii elektrycznej. Temperatura w nich jest
taka, że pasażerowie czują się jak w rzym-
skiej łaźni. Regulacji ogrzewania nie można
w wagonach bezprzewodowych znaleźć, a i
regulacja nie bardzo byłaby możliwa ze
względu na różne gusty podróżnych. Czy nie
byłoby możliwe zamontowanie w wagonach
kolejowych termostatów, które wyłączałyby
ogrzewanie przy temperaturze — powiedzmy
— 30 stopni, a włączają przy 20 stopniach?
Wydaje mi się, że takie rozwiązanie dala-
by miliony kWh energii elektrycznej, a co za
tym idzie — znaczną oszczędność tak po-
trzebnego krajowej gospodarce węgla.

Tomasz Gruda
Lublin

„LIST DO PREZYDENTA MIASTA LUBLINA“

Wielce Szanowny Panie Doktorze! Jako je-
den z zainteresowanych poruszoną przez Pa-
na w otwartym „Liście do Prezydenta Mia-
sta Lublina” („Kamery” nr 23/39) sprawą
pomnika Jana Kochanowskiego oraz podzie-
lając troskę o jego los, ośmieliłem się zgro-
dzić z przedstawicielami w tej kwestii sug-
stiami.

Apel Pana o wycięcie drzew jest chyba nie-
porozumieniem. Powołując się Pan na „Liście”
na stąd pamięć stwierdzać, że na skwerze przed
ustanowieniem tam pomnika drzewa nie rosły.
Wystarczy jednak lenieć się tym drzewom
przypatrzeć, by stwierdzić, że większość z
nich ma wycięte liście, aniżeli ufundowany w
okresie międzywojennym i dość kontrower-
syjnie przyjęty przez społeczeństwo miasta.

postument. Jedynie kilka ozdobnych drze-
wek i krzewów na zapleczu pomnika zasa-
dzono w okresie późniejszym. Różliny te,
ktoś może twierdzić, nie tylko nie zasłaniają
pomnika, ale tworzą piękne, naturalne jego
tło.

Również nieco wnikiwsza obserwacja oto-
czenia wskazywałaby Panu przyczynę zaniku
trawy na skwerze. Wyniszczenia jest ona
przez miłośników gołębi, którzy codziennie
rozsykają tu pokarm. Stada zlatujących na
ter placów i odwiedzających je ludzie niszczą
zastawę każdego roku trawę. Wycięcie
drzew nie przyczyni się więc do jej wzrostu.

Jestem ponadto przekonany, że ani pom-
nik, ani architektura otaczających placik bu-
dynków nie nie tryska, a raczej straci, kiedy
wyniszczy się rosnące na skwerze drzewa.
Zostanie tu wówczas naga, odstraszaająca ludzi
kamienna niecka ze stojącym pośrodku nieł,
również wyciętym z kamienia, niczym nie
naznaczającym do twórczości Jana Kochanow-
skiego postumentem. Obecnie chociaż kępa
starożytnych drzew dodaje mu nieco poetyckiego
uroku.

Jako jeden z organizatorów wystaw cza-
sowych na skwerze zostałem przez Pana po-
średnio obciążony odpowiedzialnością za do-
datkowe zasłanianie pomnika.

Wydaje się mi, a w sędzię tym nie jestem
chyba odosobniony, że wystawa pełnych uro-
ku i poezji plastycznych prac dzieł ani pom-
nikowi, ani pamięci poety nie uosabiała. Po-
średnio nawet przyczyniała się do zruwania
uwagi na stojący w osamotnieniu postument.
Szkoła, że nie żaden Pan sobie uosobca tru-
du, by zobaczyć, jak setki ludzi odwiedzają-
cych wystawę mimo woli zatrzymywali się
przed pomnikiem, którego może nawet przed
tem nie dostrzegano. Ekspozycja wystawę,
którą notabene już dawno zdjęto, została tak
pomysłana, by nie zasłaniać i nie szpecić
pomnika.

Obecnie, kiedy ani wystawy, ani liści na
drzewach już nie ma, najwyraźniej widać,
jak pomnik Jana z Czarnolasu jest zanied-
bany. Przyłączam się więc do Pana apelu o
rozważenie nad nim troskliwszej opieki. Łą-
czę wyrażę powołania.

dr Józef Zięba
Kierownik Muzeum
Józefa Czechowicza

Od redakcji: Wydrukowany tekst to kopia
listu przesłanego przez nadawcę dr. Stefanowi
Walcichowskiemu, autorowi „Listu do Pre-
zydenta Miasta Lublina”.

NA BOSAKA?

Sprawa moja (i nie tylko moja) może woc-
bee innych wydać się blaha. Liczę jednak, że
rozstrzygnięcie pontyjskiego problemu da ed-

powieź liźnej grupie młodych ludzi. Cho-
dzi mi mianowicie o kupno tramppek koszy-
karskich, tzw. basketów (150 zł para). Pro-
szę mi wskazać, od urzędniczo bezskutecznie
poszukując tego towaru. Mało tego, w czasie
tych poszukiwań dowiedziałem się, że w
sklepach lubelskich ciągle brakuje tramppek.
Po długich poszukiwaniach w Puławach i o-
kolicznych miejscowościach postanowiłem
udać się do Mekki handlowej regionu — do
Lublina, obiecując sobie i pięciu innym oso-
bom nie wracać z pustymi rękoma. Widzia-
łem w wyobraźni, jak nasza klasowa druży-
na koszykarska w nowych, o fenomenalnym
wybiciu basketach zdobywa mistrzostwo szko-
ły.

Niestety, przegraliśmy — grając w „dziej-
wiakach” i „jednostkach” starszych kole-
gów. Z Lublina wróciłem boćkiem z niczym.
Na moje pytanie o basketki, ekspedientka w
głównym sklepie sportowym miasta wręcz
osiemlała! A kilku chłopców, stojących obok,
uśmiechało się dziewczęcznie — oni również
szukali tego sprzętu, a nawet najwykleszczeń-
szych tramppek. Może na lamach „Kamery” handel
odpowie, dlaczego brak w sklepach najbar-
dziej poszukiwanych numerów obuwia spor-
towego?!

Andrzej Gauda
Puławy

„CASANOVA — PAMIĘTNIKI“

Przepraszamy p. Tadeusza Everta z War-
szawy, że w sześciu odcinkach „Casanova-Pa-
miętniki” autorka korzystała przy tzw. „dym-
kach” z tekstów zaczerpniętych z Jego prze-
kładu „Pamiętników” Casanovy, wydanych w
1961 r., nie pytając o zgodę tłumacza. Wed-
ług życzenia p. Everta honorarium za sześć
„dymków” przekazujemy na Centrum Zdro-
wia Dziecka. Od słodkiego odcinka autorka
komiksów nie wykorzystuje już prze-
kładu p. Everta. Trudno jej jednak ze zro-
zumiałych względów porozumieć się z sa-
mym Casanovą, czy godzi się on na publi-
kację pamiętników w formie komiksów.

A swoją drogą zwracamy się do Czyteln-
ków: czy chcecie, abyśmy komiks konty-
nuowali? Czy budzi on zainteresowanie? Cze-
kamy na listy i ewentualne propozycje.
(Red.)

ZAMIAST SPROSTOWANIA

Drukarnia w ostatniej fazie druku „Kame-
ry” (w części nakładu) pominiła nazwisko
autora artykułu nt. „Śledem czepak pod zie-
mią”, zamieszczonego na 2 stronie poprzed-
niego numeru. Autorem jest Jerzy Dostati-
ni.
(Red.)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Marja Bechryc-Rudnicka, Jerzy Dostatiński (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystyczny) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny.
— do dnia 16 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”
Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.
Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 3187. J-4.

Numer łamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje rwnkle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Jednakże nie będzie przesadą, kiedy powiemy, że mimo takiego trudnego otoczenia zachowała się z pewnością Bordini osoba pełna postawa psychologiczna, jaka? Iva czym ona polegała? Zgodziła się, że „ona nigdy nie opuszczała”. Ze świętym Bożego Narodzenia zrosła się to „miłość”, jakimi witalny dwa wolne dni niezależnie od tego, że wolne soboty przynosiła nam tę możliwość w ciągu całego roku. Poza tym występuje wyraźne „sprzyjanie” życia. Rodzina najmniejszą kłopotliwą organemu społecznego — to stymulowanie szczególnie znacząca swą aspidofitą przez to, że nie kontaktujemy się z szelami, koniencjami i listami obecności, ale z towarzyszymi, znanymi, nieznymi, dziećmi, a także ze szwagrami nie rzadko przy „czymś” mocniejszym. I jeszcze coś. Na ten czas przypada jakiegoś reaktywowanie zyciowości, cośkolwiek odsuniętej na bok w chropowatym łoku pracy produkcyjnej, w warunkach przeciętnej cywilizacyjnych naszego życia obrotowego.

A jeśli mowa o zyciowości, to nie można pominąć profesora Bordiniego, który dobrze, że ponownie zawitał na skłany ekran. Kiedyś profesor zapytany drugiego widujemy go tak rzadko, odpowiedział: „Bo ja jestem zaradczym”. Cudzę się czymś rośnie od innych, którzy uważają, że telewizja nie może się bez nich obejść. Uważam, że bez mnie może”. Oto proszę państwa znaleźć się z „dawnymi, dobrymi czasami”. Więc profesor „wnosi swą zyciowość w młodzieżowe środowiska chętnie piosenkowaniu i gitarowaniu. Tyko, stary precheta, robi to nie bez listego manewru. Spowodować ławinę decyzji i wygłębów? Nie łatwiejszego. Zapinają prochu mnożono. Profesor Bordini dodając otuchy temperuje. Nie jestem muzykologiem i wydaje mi się, że jego ingerencje nie zawsze są słuszne. Ale właśnie: w tym też ma rację! Zawsze musi być ten tłumik nałożony na łatwy entuzjazm choćby i dziury w całym należało by poszukać. Inaczej by się nam ta kilkunasioletnia Polska rozwrzeszczała do niemożliwości. Przyznając, że dziwiło mnie, kiedy telewizja ten program podjęła. Jakby ruchowi piosenkarskiemu potrzebny był jeszcze doping. Ale w tym wykonaniu? Chapeau bas. I młody człowiek usatysfakcjonowany i epidemia wrzeszczanki jakos tam zahamowana. Czyli „bardinizm” potrzebny jest w naszym życiu społecznym. Nie tylko na święta.

A co jeszcze potrzebne? Mnożono śniegu. No, nie tyle, żony pukały kopyta przesłupując pościele przez narodzić, ale osłabio zmarzało się nam to święto obumierające po wodzie, a wtedy cały urok przyska. Zgodziła się: śnieg jest konieczny, a najłatwiejszym sposobem jest uzyskać je w kooperacji z niebem, czyli w postaci śniegu. Jeśli na Boże Narodzenie mrozi pod nogą nie szczytnie, drzewiany płot — jeszcze gdzieś na porożerach — kotłom nie sztyli, gwiazdka nie zającuje w promienistą lajarni, wszystko na nie. Niedawno byłem na wystawie fotografii „Kontrastacje II” urządzonej przez Wojewódzki Dom Kultury w Bramie Krakowskiej. Dla Interdium rzuciem okiem przez wyłot szczytności na zimowy Lublin. Co za panorama! Zama poznał wspaniałą bajką oprząc naszą konkretną rzeczywistość. I zapoczątkiem bajkę, mino że w konkretniej rzeczywistości zdarzyło mi się nieraz zostać wypchniętym z trójbusu. „Dawny Lublin” — taki widok jak tytuł wierszy Heleny Piłty rozpostarli się przed moim okiem. I już darowałem — to, co mnie spotykało pod dachami. Śnieg wszysko przykrywa.

„Stracia patrzeć jeno” jak ten Ijon kłuczy. Niby snuje bosonarodzeniową opowiadkę, a tymczasem gdzie może woja szpuchę. Wtorek okazał, przy której wyjechał się nawet krzywdy, wtorek swemu oświadczeniu o potrzebie zyciowości. Ha, mówi Jewuszenko: „Mnie się bardzo podoba, gdy mi się ktoś nie podoba”. Czy nie ma w tym jakiegoś racji? Bo jest wtedy sposobność przedstawić swój punkt widzenia. Zaproponować sposób postawienia sprawy, który się samemu uważa za słuszny. Czy leżoniacie nie wolno tak postąpić? Nie sądzimy, że artmionol zapiwaczy z nieba „nas zjadaczy ciemba w aniołowy przerobi” choćby na okres dwu dni. Zostaniemy ze swymi słabostkami, przyzwarami, przyszciami. Sposobnie się do wigilijnego barzachu dobrze będzie i w tym pomysłcie. Porządek zrobić nie tylko z owłosieniem, które wobec wysokiego czoła ma tendencje do przerosów w tyle głowy, ale również z mankamentami w postępowaniu, które nie zawsze odpowiada wymogom współzycia na tej ziemi.

Zgodzi! To śniegu, barzachu, srebrnych promieni —

Ijon

„Bardinizm”

„O KNO jest jak okulary czarodzieja”. Co to? Oczywście Gatozyna. Wierszyk dla dzieci o tym, kto wyniósł choinkę. Z wierszyka wynika (przepraszaam za rym), że choinki wymyślił poeta. Niewieście przesadzone. Folklor jest piekny, więc ten ktoś nawet zborowy, który go stworzył, musiał być poetą. Jakimże w dodatku realistą! („Największymi wrogami fantazji są poeci” — Cocteau). Jak celnie ustram w upodobania najmłodszych. Wiedział, że tu trzeba zadziałać światłem, arcobrem, pulsującym kolorem, świeckową gałązką. Ale czy trochę iza się w oku nie zrcę? Bo te akcesoria Bozego Narodzenia, które towarzyszą nam już od Świętego Mikołaja, zaczynają schodzić na psy. Pamięć ludzi starszych jeszcze trochę walczy, jak ta stara gwardia, która się nie poddaje, ale warunki życia współczesnego i tu dokonują metamorfozy. Zanikają świeczki, pojawiają się żarówki, miejsce „antelaksich wiesów” zajmują celofanowe pasma, o śniegu pod wigilijnym obrusem już słuch zaginął. Nie dobrze. Ale kto z tym „nie dobrze” się zgodzi, skoro ludzi pamiętających te świeczki, wiosy i siano jest dziś zaledwie jedna pięta!

Pani X przestrasza

Z BUDOWANY jestem samym pomysłem prezentacji ciekawych indywidualności artystycznych w telewizyjnym programie „Wszystko za wszystko”. Najczęściej są to osoby znane i lubiane, choć nie zawsze. Któregoś dnia przeczytałem w programie telewizyjnym, że na „Wszystko za wszystko” zdecydowała się pani Zaniewska, Nymena zreszta, naczelny scenograf TVP i nie tylko. Miałem nadzieję, że będzie to coś niezapomnianego, jak np. „Wszystko” profesora Michalowskiego. Niestety. A chodziło tylko o to, czy mój porurek z wyobraźni zbliżył się do oryginału i w jakiej części. Stało się inaczej, mój porurek zdecydowanie przerosł oryginał i nie na to nie poradzę. Wyobraziłem sobie zupełnie coś innego i dlatego nie zadzwoniłem pod wskazany numer TVP, mimo częstych nawoływań redaktora Janusza Rolickiego. Wydawało mi się, że ktoś pomylił plansze i tę właściwą, adekwatną do poziomu programu, która powinna brzmieć „Niewiele za wszystko”, gdzieś zagubiono wstawiając w jej miejsce stereotyp. W tym programie pani Zaniewska nie znalazła miejsca na „odstosie” swojej, zapewne niepowtarzalnej, indywidualności, natomiast dała się poznać

jęko uroczą despotką, uzbrojona w atut okolicznościowego gaduśtwa, z odpowiednim, oczywiście, nagłośnieniem. Podobne tolerancja i poczucie humoru to jedyna ludzka mądrość, śpieszę więc donieść, że żadnej z tych zalet mi nie brakuje. Zgodzi więc na nudnawy nieco eios artystyczny pomienionej wyżej pani, tylko nie bardzo rozumiem za co tu się katuje biednego telewizora, rozgoryczony absmakiem selekcjonerów TVP. Sądziłem, że przynajmniej telewizja to firma poważna i w sposób umiarkowany foruje swoje nazwiska i potęgnyją piłcami kulturowego koncepcje pompuje i wyczułem ich średnią sławę. Jednak nie. Wyrownala do towarzyskiej

„Poezji”, gdzie jeden członek kolegium redakcyjnego pisze drugiemu entuzjastyczną recenzję z tomiku zasługującego na artystyczną ekskominację i za ten tomik „poustawiany” wszędzie literat otrzymuje nagrodę tejże „Poezji”. Na tej samej zasadzie posiadono przed kamerami TVP panią Zaniewską w towarzystwie artysty Adama Hanuszkiewicza, byłego poety (pana Sprusińskiego) i dwóch psów rasy pointer. Do tej całej zabawy przyznależniony został jeszcze świętny skądinąd reporter, Janusz Rolicki, dzięki którego sprężystości umysłowej wiele dekoratorskich deklaracji uszło uwadze telewizora. Najbardziej podobał mi się zadany na gorąco pani Zaniewskiej test na wybranie, gdzie i ładnej dziewczyny udra-

powanej na emancypantkę, wydumala za kulami uwielbioną przez gwiazdy wiejskich zabaw ciężką migotliwą kreację. A przecież tak prosto wszystko i góry ustalić i przekonsultować. W ostateczności nawet wezwac zaprzyjaźnionego dekoratora wysław i z głowy. Rozumiem megalomanię, ponieważ ona często towarzyszy sztuce. Tylko że jest to tej sztuki dychawica i lepiej po nich zasnąć w rękaw i wścibskim odpowiadać, że to drobne zacięgnięcie, niż obnosić ją ulicami jak wawrzyn, a tym bardziej wdrapywać się przed kamerę. A co do psów pani Zaniewskiej, to trzeba przyznać, że ona umie wokół siebie organizować okrutną scenografię (nie mylić ze scenografią) która doskonale harmonizuje z panem Sprusińskim i niebem, i wszystko można by spokojnie przetrzeć, tylko tekst artystki o psach — że „są to najważniejsze osoby w Warszawie” — trochę zakrawa na cienki numer, ponieważ ja osobiste wołg owczarka staroniemieckiego Jana Himilabcha, be wąpści, czy do sympatycznych piesków pani Zaniewskiej można się spokojnie przysiąść w kawiarni.

Jerzy Kacowicz

Casanova Pamietniki rys Krystyna Wójcik



KAZDEGO TYGODNIA POSWIECAEM IM JEDNA NOC...

W DYLANZANSIE PILNIE PRZYGLADALEM SIĘ MOM TOWARZYSZOM PODROZY - JEGOMOSCIOWI OKOLO PIECDZIESIATKI I DWU DAMOM - JEDNA Z NICH!...

NOCUJEMY W TERRACINA - W POKOJU O TRZECH LOZKACH... OBIE PANIE, SIOSTRY - ULOZYLY SIĘ DO SNU W NAJSZERSZYM LOZU... SEABY PRZEBLYSK SWIATEA, PADAJACY NA KOBIETY W LOZKU NIE POZWOLJE MI ZMRUCZYĆ OCZU! ...WALCZYŁEM ZE SOBĄ GODZINE CAŁA - GDY UJRZAŁEM, ŻE PRZEDMIOT MYCH ZACHWYTÓW...

OTRYMAŁEM LIST OD MATKI - Z WARSZAWY GDZIE WYSTĘPOWAŁA W TEATRZE... PEWIEN MNICH Z KALABRII NA JEJ PROSBY ZANIESIONÉ DO KRÓLOWEJ POLSKI - ZOSTAŁ BISKUPEM W MARIORANO... ZAODIEKUJE SIĘ TOBA, JEJ PROTEKCJA OTWÓRZY CI DROGĘ DO ZASZCZYTÓW!... A WIĘC ZEGNAJ WENECJO!

WSTAJE... IDZIE... DO ŁÓZKA MAEZONKA!... ZDJĘTY GNIEWEM I WSTRĘTEM - ZASNAŁEM!